№ 35. Warszawa, dnia 31 (19) Sierpnia 1889 r. Rok IX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2 k. 50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

OPIEKUN I WYCHOWANEK.

Dzieje się bardzo często w życiu, że popieramy z całych sił jakiegoś młodzieńca w tym jedynie celu, aby rozgniewać lub pośrednio zaszkodzić któremuś ze znajomych, a niemiłych nam ludzi. Wychowanek korzystając z opieki, wzrasta, kształci się, zyskuje powodzenie, rozgłos, pieniądze, znaczenie i wpływy. Wówczas to nasze dobrodziejstwa stają się dla niego niemiłem wspomnieniem dawnej biedy; wie on dobrze, że pobudki naszej pomocy nie były zbyt czyste, sam zresztą jest ambitnym, łakomym, żądnym coraz to dalszych zdobyczy i odznaczeń.

Na drodze do nich znajduje jeszcze jedną tylko zawadę, nas, dawnych opiekunów.

Po krótkiem wahaniu więc rozrywa wszelkie węzły, łączące go z nami, i występuje otwarcie do walki. Jest on młodym, silnym, zapalczywym, pełnym wiary w przyszłość; my, opiekunowie czujemy już ciężar lat ubiegłych, niepowodzenia zaraziły nas zwątpieniem i osłabiły wytrwałość.

Koniec starcia łatwy do przewidzenia.

Opiekun ustępuje pola wychowańcowi, pozornie zawierając chlubne przymierze. Ma on dozorować kroki wychowańca i doradzać mu w trudnych przedsięwzięciach; w istocie rzeczy przecież tylko ten drugi ma prawo odtąd działać, opiekun musi patrzeć i słuchać w milczeniu.

Podobny stosunek pojawia się często i w życiu politycznem, a najnowszym jego przykładem są wzajemne związki Anglii i Prus.

Cały wiek XIX składał się na to, aby Wielka Brytania pieniędzmi swojemi już nie podtrzymywała, lecz podsycała wzrost tego państwa, wykarmionego kosztem sąsiadów. Skłaniało ją do tego błędu widmo ustawicznego współzawodnictwa z Francyą.

Angielscy mężowie stanu rozumowali w sposób następujący. Zjednoczone Trzy Królestwa panują i powinny panować nad wszystkiemi morzami całej ziemi. Panowanie owo przecież nie będzie trwałem i pewnem, dopóki Francya trzęsłaby stałym lądem europejskim. Trzeba przeto postawić na wprost niej groźnego współzawodnika, który ustawicznie osłabiałby jej siły. Tym ostatnim zostały Prusy.

Stąd już za Napoleona I Anglia sypie dukaty do pustego skarbca pruskiego, stąd ojciec Blücher dowodzi wojskiem, uzbrojonem i płatnem za korony brytańskie. Stąd i nadal, aż do czasów dzisiejszych, niemal zawsze i wszędzie gabinet londyński przychylnem okiem patrzył na zabory pruskie, a gdzie spokojnie patrzyć było trudno, tam spuszczał powieki.

Związki polityczne szły zgodnym szlakiem z połączeniami rodzinnemi. Królowa Wiktorya nie zapomniała nigdy, że właściwie Niemcy są jej ziemią ojczystą. Dlatego też księżniczki i książęta niemieccy po wszystkie czasy z łatwością uzyskiwali jej poparcie; zapomocą małżeństw łączyli się oni z domem królewskim w Angli i na podstawie tychże otrzymywali następnie sowite zaopatrzenie ze skarbca rządowego.

Dwór wszędzie wysuwał niemców na czeło. W urzędach, w bankach, w handlach, obsadzano stanowiska niemcami, którzy napływali do Anglii tłumami całemi. Robiono im rozmaite ułatwienia, nadawano obywatelstwo, pomagano do wzbogacenia się, żeniono z majętnemi córkami londyńskich dorobkiewiczów. Doszło już do tego, że obecnie skarżą się młodzi anglicy, jako w ich ojczyźnie potrzeba być niemcem celem zdobycia jakiegokolwiek wybitniejszego stanowiska. Dość powiedzieć, że dzisiejszy minister skarbu w Anglii, Smith jest niemcem, cieszącym się łaską dworu, a odznaczającym się niezwykłą łącznością narodową.

Rozumie się samo przez się, że po zalewie osobistym nastąpił zalew ekonomiczny. Pomijamy już tę okoliczność, że niemcy zdobyli większą część stanowisk w bankach prywatnych i ułatwiają tani kredyt tylko swoim. Pomijamy i to, że nabyli niemałą ilość fabryk wewnątrz kraju; najbardziej bowiem zatrważającym jest napływ do Anglii lichych, lecz tanich towarów niemieckich. Fabrykant angielski, posługujący się droższym a sumiennym robotnikiem, nie może oddawać swych wyrobów po takiej cenie, po jakiej zbywa je niemiec, wyzyskujący ludzi i używający lichego surowca.

Równocześnie niemcy rozszerzając wywóz, rozpoczęli z przemysłem angielskim walkę na rynkach zagranicznych, dotychczas opanowanych przeważnie przez ten drugi. Świat kupiecki więc w Wielkiej Brytanii począł się skarżyć. Obejrzano się wokoło i dopiero wówczas spostrzeżono właśnie szczerby i wyłomy, poczynione w warowni dobrobytu angielskiego przez rzekomych wychowanków i przyjacieli.

Najśmieszniejszem dla widza w owym zatargu jest przekonanie, żywione przez niemców, że wszystkie te zdobycze należały się im całkiem słusznie. A że w miarę powodzenia wzrasta również i chciwość, postanowiło tedy młode cesarstwo niemieckie, którego mózgiem, sercem i pięścią są Prusy, rzucić Anglii, niemal otwarcie, wyzwanie do boju. „Niemcom w ojczyźnie za ciasno — śpiewał chór dziennikarski — a więc pójdą za morza i zdobędą liczne kolonie na wzór Anglii." Takim był hymn, nucony głośno. Po cichu zaś dawano do zrozumienia, że zwolna trzeba będzie opiekuna pozbawić owych potężnych oraz bogatych posiadłości; złoto z całego świata powinno płynąć nie do Londynu, jeno do Berlina.

Nie przesądzamy przyszłości.

Na dzisiaj zaznaczymy tylko niepowodzenie ekonomiczne, którego ofiarą stały się niemal wszystkie firmy niemieckie, rozwijające swoją działalność w Afryce? Wówczas to książę kanclerz, przyzwyczajony cudzemi palcami wyciągać z popiołu pieczone kasztany, dążył do zawarcia układu z Anglią, mocą którego okręty tej ostatniej miałyby i kupców niemieckich i rząd Rzeszy ratować ze smutnej potrzeby afrykańskiej. Stary wróbel zoczył plewy i od zasadzki zdołał się uchronić; Bismark zaś, rozgniewany, przez tubę *Nordd. Allg. Ztng* oznajmił światu, że przyczyną niepowodzeń niemieckich w Afryce są intrygi angielskie.

Po zawodzie na polu kolonialnem żelazny książę nie stracił nadziei, że przynajmniej na polu polityki europejskiej zrobi „ein gutes Geschäft.“ Sposobności do nastraszenia Francyi dostarczyła mu podróż Wilhelma II do Anglii. Jej znaczenie i doniosłość należało przesadzić oraz powiększyć; zadania tego dokonały tym razem już nietylko dzienniki berlińskie, lecz również i angielskie, z których kilka pobiera oddawna zasiłki ze skarbca niemieckiego. Zresztą i w szeregach dziennikarzy londyńskich liczy książę wielu rodaków, całkowicie mu oddanych.

Zdaje się przecież, iż owe huczne fanfary celu chybiły. Niesmak zaś i rozgoryczenie nad Tamizą ku Niemcom nietylko nie ustają, jeno przeciwnie rosną i potężnieją z dniem każdym, gdyż najpotężniejszą, najtrwalszą oraz najniebezpieczniejszą zarazem na świecie jest zawiść i zazdrość ludzka o kawałek chleba codziennego.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Zdarza się niekiedy, że jakiś bankier wyprawiający wspaniały bal celem uświetnienia świeżo założonego przedsiębiorstwa, otrzymuje naraz wiadomość, że fundamenty pałacu pękają. Gospodarz blednie; przestraszona wyobraźnia maluje przed jego oczyma walącą się budowlę, spadające belki, oraz odłamy muru i zakrwawione trupy. Czemprędzej tedy nakazuje umilknąć muzyce, przeprasza gości i ostrożnie uwiadamia ich o nieszczęściu. Ci trwożą się również, z wyrzutem patrzą na bankiera za to, że śmiał zapraszać ich do budynku, nietrwałego i zniszczonego, a następnie z pośpiechem wypadają na ulicę. Taki sam widok przedstawia obecnie p. Crispi w stosunku do trójprzymierza. Zaprosił na wspólną biesiadę Austryę i Niemcy, obiecując ochoczą zabawę; tymczasem podstawa owego przymierza, lud włoski sarka ustawicznie głośniej, gnieciony nędzą, coraz to większą i dotkliwszą. Banki włoskie, jeden za drugim, ogłaszają niewypłacalność; bogaci do niedawna kupcy i fabrykanci w zamian za długoletnie trudy otrzymują torbę żebraczą, a lud w niektórych okolicach umiera z głodu. Czy wobec tak smutnego zjawiska Crispi jeszcze długo będzie mógł ponosić ciężary, wypływające z trójprzymierza, czy sprzymierzeńcom przyda się na co ten „der dritte im Bunde,“ znękany, zbiedzony i bezsilny? Prezes ministrów włoskich nie zastanowił się nad tem, że bieda obywateli Królestwa Włoskiego podkopuje zjednoczenie, dokonane w 1870 r., obudza niechęć do dzisiejszego stanu rzeczy, a zarazem tęsknotę do dawnych czasów.

Leon XIII i jego prałaci, gdyby byli rzeczywiście dobrymi politykami, mogliby bardzo łatwo wyzyskać to wrzenie na swoją korzyść. Tymczasem ci zwolennicy starej dyplomacyi, zadawalniającej się pozorami i formułkami, a nie rzeczywistością, wymyślili nowy projekt przywrócenia Watykanowi rzekomej władzy świeckiej. Papież ma otrzymać ni mniej ni więcej, tylko pociąg dworski i okręt wojenny; i pierwszy i drugi będzie zdobny w flagę papieską, oraz obdarzony przywilejem eksterytoryalności, przysługującej tylko monarchom. Zdaje się, że na takie zabawne rozwiązanie sprawy rzymskiej rząd włoski z łatwością powinien się zgodzić, boć lepiej dać dwa cacka w kształcie okrętu i pociągu, aniżeli cały Rzym.

Boulanger wydał znowu manifest wmyśl *nulla dies sine linea.* Tym razem przecież był skromniejszym i przemówił już nie do całej Francyi, jeno do paryżan. Zapas łajań również mu się wyczerpał; wyrazy „złodziej, łajdak, szubrawiec“ powtarzają się w owej odezwie zaledwie po razu. Jest ona listem polecającym dla kandydatów bulanżystycznych, ubiegających się o mandat poselski z miasta Paryża. Wybory odbędą się d. 22 września; odpowiednie postanowienie prezydent Carnot zaopatrzył już swoim podpisem. W przeddzień rozstrzygającej chwili również i głowa rzeczypospolitej wyda manifest, w którym zachęci wszelkie stronnictwa republikańskie do zgody i jedności. Słowa te, rozlepione we wszystkich gminach francuskich, zaważą na szali, gdyż Carnot w przeciągu swych krótkich rządów zyskał dużo poważania i wpływu. Ten zimny i spokojny poseł, z ładnie rozczesaną brodą, okazał dużo zimnej krwi oraz dużo wytrwałości; ten umiarkowany i beznamiętny mówca umie lepiej bronić rzeczpospolitą, aniżeli przywódcy republikańscy, sypiący plewą frazesów i patetycznych wykrzykników. A przytem zna on dobrze swoich rodaków; wie, że trzeba ich olśnić, zabawić, rozerwać. Stąd owe podróże po Francyi, stąd owe przyjęcia, stąd liczny i błyszczący dwór, stąd też ciągłe bankiety i mowy. Środki lecznicze tego rodzaju już teraz przynoszą dobre owoce; wszyscy trwożliwsi, obojętniejsi, wahający się powracają pod sztandary rządowe i to wówczas właśnie, kiedy nie głów, jeno głosów potrzeba.

Znamiennem jest wzrastanie zapędów militarnych w Anglii. Odbywa się tam obecnie agitacya za pomnożeniem armii, jako ochronnego wału przeciw zapędom któregokolwiek z państw stałego lądu. Bogaty kraj może sobie pozwolić i na taki zbytek, boć wojska lądowe wobec świetnej marynarki są dla niego w samej rzeczy zbytkiem.

Błędna pogłoska o uruchomieniu armii armii serbskiej wywołała w przeszłym tygodniu popłoch na giełdach Europy; do zrobienia tego błędu przyczyniło się opatrzne wytłomaczenie rozporządzeń ministrów wojny i spraw wewnętrznych, chcących zaprowadzić dokładniejszy nadzór nad rezerwistami.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WRZÓD GALICYJSKI.

II.

(Proces agentów emigracyjnych).

Uprzytomnijmy sobie wprzód warunki miejsca, na którem pająki wyzysku przez ośm lat rozstawiały bezkarnie swe sieci do zgarniania ofiar ciemnoty i nędzy krajowej.

---

1)

Sen poety

przez

Edwarda Neele'a.

Było to przed południem podczas dusznego dnia jesiennego w r. 1638. Mężczyzna, którego wiek pokazywał mniej więcej lat dwadzieścia pięć, pięknie, choć nie z przepychem ubrany w strój narodowy, przejeżdżał na mule dziką i romantyczną drogę, prowadzącą z Sienny do Rzymu. Po pierwszem spojrzeniu na podróżnika, oko myślącego spostrzegacza zdolnem było dopatrzeć w nim coś więcej, niż znamiona, wyróżniające go od tłumu ludzi pospolitych. Czoło jego było wysokie i blade, a jasny włos w sutych pierścieniach spływał mu na ramiona. Cera młodzieńca, jakkolwiek znacznie zabarwiona pod uderzeniami południowego słońca, pod któremi przejeżdżał, snać pierwotnie była nadzwyczaj piękną, jeśli nie bladą, a przy owalnej twarzy i wyrazistych niebieskich oczach pokazywała w nim syna krainy bardziej północnej, aniżeli tej, po której podróżował. Rysy jego miały wdzięk klasyczny; łagodny a ujmujący ich wyraz przyciemniało, nie osłabiając ich powabu, pewne znamię zadumania, które widocznie wycisnęła na nich głęboka praca naukowa a może nawet i przeszłe cierpienie. Wzrost podróżnika był mniej więcej średni a forma przedstawiała ową doskonałość symetryi, której napróżno upatrywać zwykliśmy w naturze, lecz podziwiamy ją w arcydziełach Fidyasza i Rafaela. Za nim jechał, również na mule, służący; obaj zmierzali gościńcem do wiecznego grodu, od którego dzieliły ich dwa dni drogi.

Dzień był duszny, a ponieważ droga wiła się pomiędzy najkrętszemi i przepaścistemi przejściami Apenin, przeto nasi podróżni zdawali się być nadzwyczaj znużonymi. Ku niemałemu więc zadowoleniu przed ich oczami wychylił się w pewnej odległości gęsty las sosnowy, zapowiadający osłonę od skwaru południowego, a przytem sposobność przejrzenia podróżnego kosza i orzeźwienia się jego zawartością. Dojechawszy do lasu, zsiedli z mułów i spiesznie rozłożone śniadanie, składające się z chleba, owoców, sera i wina, znikło z równym prawie pośpiechem, jako ofiara dwóch apetytów, jakie długi post i utrudzająca podróż nigdy wzbudzić nie omieszkują. Po czem wyższy podróżnik, poleciwszy służącemu odprowadzić muły na małą odległość, gotował się do krótkiej drzemki przed puszczeniem się w dalszą drogę.

Zaledwie uległ był pierwszym popędom snu, a już niespoczywający nigdy mózg jego zasnuły błędne, półciemne kształty, aż w końcu upostaciowały się w widmo najwyższej, doskonałej piękności. Śniło mu się, że widzi prześliczną, pochylającą się ku niemu i wpatrzoną w niego dziewicę, a w rysach jej wyciśniętym był wyraz najgłębszego podziwu i radości. Naraz zdawała się przemawiać; ale zachwycenie, z jakiem wpatrywał się dotąd w cudowne wdzięki jej postawy i rysów, uleciało przed urokiem czarującej melodyi jej głosu. Wyciągnął ku niej rękę, usiłując ująć jej dłoń; ale wywinęła mu się łagodnie, uśmiechnęła i upuściwszy drobny zwitek papieru, znikła mu z oczu. Tymczasem młodzieniec, wysilając się na podniesienie go, obudził się.

Nawpół otwartym wzrokiem spojrzał na swoje stopy, zaledwie wierząc, że to, co widział przed chwilą, mogło być tylko sennem marzeniem, tak silne i żywe wywarło ono wrażenie na jego zmysły. Ale zdziwienie ocknionego doszło do najwyższego szczytu, kiedy spostrzegł, że zwitek zupełnie podobny do tego, który widział we śnie, leży u stóp jego. Podniósł go z gorącym pośpiechem i wyczytał następujące wiersze:

Occhi, stelli mortali,
Ministri di miei mali,

Pierwotnie, przed zbudowaniem kolei Transwersalnej, ruch wychodźczy kierował się na Bogumin (Oderberg), miasteczko w północno-zachodnim Szlązku położone, punkt skrzyżowań najgłówniejszych linij kolejowych, galicyjsko-węgiersko-pruskich. Tam właśnie, w latach od 1876 do 1887, rozwinęło się po raz pierwszy luźne, niezorganizowane przez wielki kapitał, pośrednictwo pojedynczych agentów emigracyjnych. Nadmierny ich wzrost i niejednokrotne krwawe objawy zażartego współzawodnictwa wywołały prześladowanie ze strony rządu: Bogumin został oczyszczony z pasorzytów rękami żandarmów. Ale niebawem otworzono t. z. drogę Transwersalną w Galicyi, przerzynającą podgórze karpackie i wiążącą ze światem cywilizowanym zapadłe, nędzne mieściny. Jedna z nich, Oświęcim, jako jedna z najgłówniejszych stacyj połączenia z kolejami pruskiemi *via* Wrocław-Berlin, czyli, co za tem idzie, jako pierwsza krajowa furtka do Hamburga, Bremy i Szczecina, wkrótce stała się ogniskiem ruchu wychodźczego. Wyzyskiwacze zaś jego wyparci z Bogumina, obrali sobie siedzibę w Oświęcimiu, gdzie dorywczo, każdy na swoją rękę, prowadzili nadal popłatne rzemiosło. Zależeli oni od towarzystw przewozowych w Hamburgu, szczególnie zaś od kilku z nich: 1) „Hamburg-Amerikanische-Paketfahractiengesellschaft,“ 2) „Union Liny,“ 3) Cunard „Steam Ship Limited Company“ z głównem siedliskiem w Liwerpoolu i 4) Północno-niemiecki „Lloyd“ z siedzibą w Bremie, które się trudniły przewozem emigrantów z Galicyi. Wychodźtwo ludowe i zyski zeń ciągnione wzrastały tak szybko, że działalność pojedynczych agentów stała się niewystarczającą, należało ją skupić i uprawidłowić. Regulatorem, jak zwykle, okazał się wielki kapitał przybrany w formę przedsiębiorstwa akcyjnego. W maju 1887 r., w Oświęcimiu, powstaje koncesyonowana przez rząd agentura hambursko-amerykańskiego Towarzystwa przewozowego, w której skład wschodzą: sam główny założyciel jej, Jakób Klausner, jego zastępca, Szymon Herz, Juliusz Löwenberg, Artur Landau i Abraham Landerer, jako wspólnicy z równymi udziałami.

Odtąd rozpoczyna się okres zorganizowanego łotrowstwa i upartej dążności do zmonopolizowania „geszeftu“ emigracyjnego. Wielkie rasowe psy, związane ze sobą wspólną smyczą o stemplu rządowym (tj. agencya Klausnerowsko-Herzowska) miały do pokonania: równie żarłoczną i dozwoloną sforę — agenturę bremeńską (przedstawicielkę w tym samym Oświęcimiu północno-niemieckiego „Lloydu“), jakoteż całą zgraję pokurczów — pojedynczych agentów i „szwarcowników“ wychodźtwa. Wszystkie one zawadzały im, bo ogryzały równocześnie tę samą kość chłopską, która, pomimo chudości, miała jeszcze w sobie dużo soku pożywnego. A jak w nią za to umiała szajka Klausnerowsko-Herzowska zęby zatapiać! Za bilety okrętowe płaciła Towarzystwu hambursko-amerykańskiemu lub ekspedyentom portowym ceny *netto*, od wychodźców zaś pobierała— *brutto*. Taka operacya, na zasadzie ksiąg skonfiskowanych, za maj 1887 r. przyniosła im czystego dochodu 20,553 złr.! Ale suma ta, sama przez się wymowna, pochodziła nietylko z prowizyi: składało się na nią oszustwo popełniane przy sprzedaży kart okrętowych. Towarzystwo hambursko-amerykańskie („Paketfahractiengesellschaft“) miało na usługi dwojakie parowce: własne i Tow. „Union-Liny.“ Te ostatnie znacznie były tańsze, lecz gorsze i powolniejsze w ruchu. Gdy pierwsze odbywały podróż z Hamburga do Ameryki w 10—14 dni, to Unionowskie potrzebowały na nią 13—20. Otóż wychodźców galicyjskich wysyłano przeważnie statkami „Unionu,“ pobierając opłatę za przejazd po cenach kart okrętowych własnych, wyższych o 10 marek. Za jakąbądź więc cenę należało uczynić ogryzanie kości chłopskiej wyłącznem i niepodzielnem. Leżały trzy zadania do spełnienia: skupienie całego ruchu emigracyjnego do Oświęcimia, wytępienie współzawodników i zjednanie opieki oraz pomocy rządu.

Jakoż po niejakim czasie, dzięki sprytowi, energii, wszelkiego rodzaju łotrostwu i potędze kapitału, spółka Klausnerowsko-Herzowska stanęła u celu. Nietylko ubezwładniła swych przeciwników: agentów pokątnych, agenturę bremeńską i przemytnictwo, ale potrafiła między kółkami swojej machiny i państwowej przeciągnąć transmisye — pasy „guldeno-lite“... Organy władzy wykonawczej (policya i żandarmerya austryacka), służba straży celnej i kolejowa znalazły się pod jednym dachem wielkiej fabryki rzezimieszków, osłonionych herbem państwa— „orłem dartym“ — jak malowniczo się wyraża korespondent jednego z dzienników warszawskich. Nakreślimy wkrótkości kilka obrazów tej harmonii...

(D. n.).

Zyg. Atanazy.

Z NAD DUNAJU.

Wiedeń, 24 sierpnia.

Odwiedziny cesarza Franciszka Józefa w Berlinie.— Trzy jubileusze: dziesięcioletnia rocznica sojuszu austryacko-niemieckiego; dziesięcioletni jubileusz rządów hr. Taaffego; urodziny arcyksięcia-okulisty dr. Karola Teodora. — Głosy młodoczeskie i klerykalne o rządach Taaffego. — Kroaci dalmatyńscy i ich poseł Bianchini. — Obrady i wykłady na kongresie antropologicznym. — Wiedeńska nędza teatralna i jej przyczyny. — Co dawano w ubiegłym roku w Burgtheatrze.

Trawestując znane przysłowie łacińskie, rzecby dziś można: skoro królowie się odwiedzają, dziennikarze umęczeni bywają. Odwiedziny monarchów, które przez całe niemal lato zajmują uwagę publiczną, wywabiły z piór dziennikarskich ogromne jezioro łez radosnych. Można mieć prywatne swe zdanie o ososobistych spotkaniach panujących: mimo urzędowych form patryarchalnej serdeczności, jakie spostrzegać się dają w podobnych razach, trudno zaprzeczyć, że spotkania owe mają pewne wybitne cechy, nadające im odrębny charakter polityczny, a odzwierciedlające stosunek, w jakim państwa do siebie pozostają. Zwłaszcza obecne odwiedziny cesarza Franciszka Józefa w Berlinie były czemś więcej, aniżeli zwykłą formą grzeczności. Święcono w Berlinie jubileusz historyczny, który dla ludów europejskich obojętnym być nie może: był to dziesięcioletni jubileusz sojuszu austryacko-niemieckiego, zawartego we wrześniu 1879 r. w Wiedniu. Sojusz ten, który miał być podstawą „bezpieczeństwa państw i spokoju ludów,“ w ubiegłem dziesięcioleciu dowiódł wysokiej swej doniosłości politycznej, dowiódł niemniej poważnego charakteru swego. Charakter ten nadaje mu okoliczność, że nie tyczy się on jedynie osób owych monarchów, którzy go zawierali, lecz że oznacza on niezmienny kierunek wytyczny polityki państwowej, przekazany dziedzicom najwyższej władzy. Doniosłe to znaczenie nietykalnego testamentu politycznego wystąpiło już wówczas, kiedy młody cesarz niemiecki przemawiał w wiedeńskim zamku cesarskim, wystąpiło ono obecnie po raz wtóry, kiedy cesarz Franciszek Józef przedstawił u dworu niemieckiego arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, desygnowanego dziedzica tronu austryackiego. Cokolwiek by zaś sądzono o history-

---

Che'n sogno anco mostrate,
Che'l mio morir bramate!
Se chiusi m'uccidete,
Aperti che farete!

które w mniej miodopłynnym języku naszym brzmiałyby mniej więcej tak:

„Oczy, gwiazdy śmiertelne, sprawcy moich cierpień, które i we śnie pokazujecie, że pragniecie mej śmierci; jeżeli zamknięte zabijacie mię, to cóż sprawicie otwarte!“

Powątpiewając o oczywistości ich znaczenia, raz i jeszcze raz odczytał je, nim przyszło mu na myśl zawołać służącego i o ile by się dało, wywiedzieć się o szczegółach, które mogłyby mu dopomódz do rozwiązania tajemnicy. Opowiadanie, usłyszane z ust służącego, powiększyło tylko zamęt w jego myślach. Dowiedział się od niego mianowicie, że podczas jego drzemki, powóz, w którym jechały dwie wytwornie ubrane kobiety, zatrzymał się tuż przy miejscu, gdzie spał jego pan, że młodsza z nich, której opis, przedstawiony przez służącego, co do najdrobniejszych szczegółów zgadzał się z obrazem postaci, co stanęła przed nim na tle marzenia, wysiadła z powozu i popatrzywszy przez niejakiś czas na uśpionego, zadała kilka zapytań służącemu; ale ten, z powodu nieznajomości języka, w którym były zadane, nie był zdolnym ani zrozumieć ich, ani odpowiedzieć na nie; że następnie nakreśliła naprędce kilka wierszy na zwitku i rzuciła go pod stopy pana, a widząc, że się poruszył, powróciła do powozu, który natychmiast odbiegł z największą szybkością.

— Czy ty mógłbyś ją poznać Horazio? — zapytał zdumiony podróżnik.

— O! panie — odpowiedział, gdyby nawet piękna jej twarzyczka zasłoniętą była welonem; niech tylko wymówi trzy wyrazy, a głos jej poznam niezawodnie. Nawet wówczas, kiedym widział Lady Alicyę Egerton, grającą w Masce w Ludlow Castle i słyszał, jak wołała Echo w swem pieniu i zdumiewałem się, że takie wołanie echa mogło pozostać bez wywzajemnienia— nawet wówczas czułem, że dusza nie zbiega się z taką rozkoszą do moich uszu; albowiem właśnie tamta — wybacz wasza dostojność — była tylko świergotem mysiego królika w porównaniu z tym słowikiem włoskim.

— Osiodłajże natychmiast muły— przerwał mu pan, nie traćmy ani chwili, ażeby je dogonić.

— O! panie, byłaby to pogoń nadaremna, ponieważ powóz, ciągniony przez cztery najbystrzejsze konie włoskie, ubiegł przed nami już daleko.

— Pomimo to jednak pośpiech nie zaszkodzi, Horazio; a przytem, jeżeli nie puścimy się krokami szybszymi od tych, którymi posuwaliśmy się dziś rano, w takim razie wątpię, ażebym zdążył na koncert kardynała Barberini, zapowiedziany na jutrzejszy wieczór.

Jakoż puścili się w dalszą drogę. Młodzieniec nie mógł ochłonąć z podziwu nad nadzwyczajnym wypadkiem dnia; mózg jego, jako człowieka wysoko posuniętego w studyach metafizycznych, nie spoczął ani na chwilę, ażeby zdać sobie sprawę ze zjawiska, przez które to, co kryło się przed zmysłowymi jego organami, objawionem zostało „oku jego ducha“ podczas godziny snu. Jednakże nie był zdolnym dojść do wniosku bardziej zaspakajającego nad wniosek zawarty w tych dwóch wierszach ulubionego jego poety:

Horazio, więcej jest rzeczy na ziemi i niebie,
Niż te, o których marzono w naszej filozofii.

Pędzili więc z największym pośpiechem, ale jak domyślą się zapewne nasi czytelnicy ze wskazówek Horazia, nie dogonili zbiegłej tajemniczej Piękności. Podczas reszty podróży nie zaszło nic takiego, coby przechodziło po za granicę zwykłej rutyny jedzenia, picia, spania i podróżowania z przypadającą niekiedy niemiłą koniecznością uwolnienia się od pierwszych trzech czynności; aż wreszcie przybyli do Rzymu.

cznej trwałości systemów państwowych, dojrzewających, a może kostniejących pod egidą Bismarka, cokolwiekby sądzono o wszystkich wynikach tego sojuszu potężnego, opartego na militaryzmie, bądź co bądź, w czasach dzisiejszych sojusz zawarty w celu zabezpieczenia pokoju jest rzeczą sprawiedliwą i uznania godną. Utopia wiecznego pokoju, opartego na przekonaniu ludów o zgubności wojny, tak bardzo jeszcze od nas jest oddaloną, a stan polityczny Europy wskutek postępującego ciągle rozkładu państwa osmańskiego i czujnych żądz, namiętności i roszczeń narodowych tak chwiejnym, że skojarzenie potęg dominujących pod hasłem: *si vis pacem, para bellum*, opanowanie świata w duchu niezaczepnym, bądź co bądź uważać należy za najracyonalniejszy w danych stosunkach środek do zabezpieczenia normalnego rozwoju ludów — i ten powinien być celem polityki.

Równocześnie niemal z odwiedzinami cesarza austryackiego w Berlinie przypadł drugi dziesięcioletni jubileusz polityczny w Austryi: święci go gabinet hr. Taaffego, który objął ster państwa 12 sierpnia 1879 r. Prasa urzędowa oraz większość niezależnych organów autonomicznych chórem pieje chwalbę prezesa ministrów, głoszącego program autonomiczno - pojednawczy. Jednak z większości, na której rząd się opiera, odezwały się z powodu tego jubileuszu pewne głosy niezadowolenia, które zasługują na uwagę. Niedwuznacznie odezwali się w tym względzie młodo-czesi, zarzucając staro-czechom zbytnie zaufanie do ministeryum. *Narodni listy* obwiniają to stronnictwo, iż skazało naród czeski na stratę dziesięciu lat, ofiarowanych ślepemu posłuszeństwu ku wymaganiom rządu. Wśród stronnictwa klerykalnego szerzy się widocznie obawa, że hr. Taaffe na przyszłość nietylko nie posunie się dalej na drodze ustępstw, lecz że worek rozporządzeń, klerykalnie zabarwionych, zwiąże ciaśniej, niż dotychczas. *Politik* polemizuje z hasłem „zmiękczenia stronnictw," wydanem przez pisma blizkie rządowi i przepowiada, że na wypadek użycia polityki „des Mürbemachens" przez hr. Taaffego, czesi dowiedliby znowu owego oporu niezłomnego, jaki okazali za czasów Kollera. Pisma zaś czysto klerykalne przepowiadają, iż niebawem nastąpi jasny i wyraźny „podział umysłów," który uniemożliwi hr. Taaffemu ciągłość jego chwiejnego systemu i zmusi go już na najbliższej sesyi parlamentarnej do postawienia programu niedwuznacznego.

Najenergiczniejsze jednak zarzuty uczyniono hr. Taaffemu i jego gabinetowi podczas obecnej sesyi sejmu dalmatyńskiego. To, z czem w sejmie tym wystąpił poseł Bianchini, redaktor pisma *Narodni listy*, w przemowie przeszło trzygodzinnej rzuca światło niekorzystne na sprawiedliwość męża stanu, który głosi program zrównania praw narodowych. Przemowa dzielnego posła dalmatyńskiego miała wiele analogii z ostatnią wielką mową Romanowicza w sejmie galicyjskim. Bianchini zarzucał rządowi macosze traktowanie Dalmacyi, krzywdzenie żywiołu kroackiego, dążności germanizacyjne, wreszcie złą administracyę. Żalił się, że dotychczas nie zaopatrzono Dalmacyi odpowiednim systemem kolejowym, że zniesiono kwitnącą dawniej komunikacyę handlową z Bośnią i Hercegowiną, wyzyskiwanemi dziś wyłącznie przez Wiedeń i Peszt. Administracyi austryackiej przypisuje Bianchini winę upadku słynnej niegdyś dalmatyńskiej floty handlowej. Gilotyna podatkowa zniszczyła też rybołówstwo, stanowiące dawniej źródło bogactwa kraju. Macosza ta administracya wpływa na zwiększenie się wychodźtwa do Ameryki. Żywioły kroackie znosić muszą nietylko ucisk ze strony elementu włoskiego, popieranego urzędowo, lecz w ostatnich czasach walczyć muszą z dążnościami germanizacyjnemi rządu. Dowolna cenzura utrudnia byt prasy dalmatyńskiej, a szkoła wojskowa w mieście Zara germanizuje młodzież kroacką. Z całą siłą zwrócił się Bianchini przeciwko dążeniu rządu, zmierzającemu do oddzielenia kroatów dalmatyńskich od kroatów Bośni i Hercegowiny. Chcą nas rozłączyć z Serajewem, z braćmi naszymi! — wyrzekł Bianchini, którego przemowę skonfiskowano w pismach — jest to despotyzm najgorszego rodzaju, przeciw któremu stanowczo protestujemy.

Kiedy więc jubileusz hr. Taaffego mącą głosy pokrzywdzonych lub obawiających się przyszłej krzywdy, tymczasem trzeci jubilat pewnym być może szczerego uznania, z jakiem najszersze koła spoglądają na jego działalność. Arcyksiążę Karol Teodor, brat cesarzowej austryackiej, a zatem wuj zgasłego przedwcześnie arcyksięcia Rudolfa, święcił pięćdziesiątą rocznicę swych urodzin, zarazem piętnastą rocznicę praktyki lekarskiej. O ile wiemy, jest to jedyny w Europie członek domu panującego, który badaniom naukowym i praktycznej działalności zawodowej oddał się z całą powagą. Medycyna nie była dla arcyksięcia sportem. Obrał on taką gałąź, w której sport byłby wprost zbrodnią: jest on okulistą i dzielnym operatorem. Odbywszy studya na wszechnicy wiedeńskiej, kształcił się następnie w Paryżu; zawdzięcza on najwięcej profesorom: Rothmundowi, Ziemssenowi i Nussbaumowi. Złożył w Niemczech t. zw. aprobacyjny egzamin medyczny, uprawniający do wykonywania praktyki lekarskiej; wszechnica monachijska udzieliła mu tytułu doktorskiego. Arcyksiążę, przebywający zazwyczaj w Tegernsee w Bawaryi, zbudował tamże szpital, którym sam kieruje, a który dla ubogich bezpłatnie stoi otworem. Corocznie praktykuje książę-okulista przez parę miesięcy w Meranie, dokąd przybywają liczni w Tyrolu chorzy na oczy. Ubogich pacyentów i tu utrzymuje arcyksiążę, którego dobroczynność jest tembardziej zdumiewającą, że jest skuteczną, dobrze użytą i cichą. Dotychczas arcyksiążę wykonał około 8,000 operacyj. Lecz nie dość na tem. Niejako dla uzupełnienia sielanki, los dał niezmordowanemu temu lekarzowi towarzyszkę życia, która jest jego asystentem. Małżonka arcyksięcia, obeznawszy się z obowiązkami pomocnika okulisty, pełni je w sposób prawdziwie samarytański, pocieszając pacyentów i dodając im odwagi. Jubileusz arcyksięcia obchodzono uroczyście nad jeziorem Tegernsee; uświetniały go gratulacye ze strony wszystkich niemal powag lekarskich. Mimowoli nasuwa się tu pamięć arcyksięcia Rudolfa, który po wuju swym odziedziczył był zamiłowanie do nauk, a w wyższym jeszcze stopniu zamiłowanie do życia swobodnego, czysto ludzkiego, nieskrępowanego formalizmem dworskim.

Kongres antropologów, o którego otwarciu donosiliśmy w liście ostatnim, obradował przez sześć dni z rzędu. Obrady te przeplatał szereg wykładów wybitniejszych uczonych. Profesor monachijski Ranke, jako sekretarz niemieckiego Towarzystwa antropologicznego, odczytał sprawozdanie o postępach antropologii w roku ubiegłym. Skonstatował rozwój jej jako dyscypliny odrębnej na wszechnicach niemieckich: wszechnica lipska otworzyła katedrę antropologii, którą zajął dr. Wilhelm Schmidt, w Monachium zaś wykłady antropologiczne należą do najbardziej uczęszczanych. Z publikacyj naukowych najbardziej zasługują na uwagę Henninga i Lindenschmidta „Altenthümer der merowingischen Zeit." Dr. Hoernes, zajmujący się specyalnie archeologicznemi poszukiwaniami w Bośni,

---

Tu najpierwszym przedmiotem troski naszych podróżnych było odszukać miejsce zamieszkania jego przyjaciela, Holsteniusa, kustosza biblioteki watykańskiej, z którym zapoznał się był w Oksfordzie, gdzie włoch bawił niegdyś przez trzy lata. Spotkanie się przyjaciół było serdeczne.

— Ale nie mamy czasu do stracenia — mówił Holstenius — koncert kardynała już się rozpoczął, a dostojny prałat z wielkiem utęsknieniem pragnie widzieć ciebie. Znajdziesz tam wyborowe towarzystwo, które zebrało się głównie w celu spotkania ciebie.

— Obawiam się—odpowiedział anglik — ażeby, ponieważ ten dzień urządzono dla literatów, gdy ci uczują się, albo udawać będą obrażonych za to, że wybrano ich za przedmiot tego, co się nazywa „widowiskiem"— obawiam się, mówię, ażeby urok oczekiwania nie zagasł, skoro jego przyczynę ujrzą i poznają. Ale przyjacielu Holsteniusu, któż są ci, dla których mam być wprowadzonym na wystawę tego wieczoru?

— Pomiędzy innymi — odrzekł Holstenius — markiz Villa, który właśnie przybył z Neapolu.

— Jakto! Manso? — wykrzyknął anglik, a oczy jego zabłysły, kiedy wymawiał te wyrazy: przyjaciel przesławnego Tassa?

— Ten sam — mówił dalej Holstenius— oraz poeci Selvaggi i Salsilli; Hugo Grotius, szwedzki ambasador przy dworze francuskim, który tu jest w odwiedzinach u Jego Eminencyi, a którego, jak sądzę, spotkałeś w Paryżu; książę de Pagliano i hrabia Vivaldi. Adrianna z Mantui, siostra poety Bazyla i córka jej, Leonora Baroni, o których powiadają, że są pierwszemi śpiewaczkami w świecie, przybyły również do Rzymu umyślnie po to, ażeby być obecnemi na tem przyjęciu.

Chwilowa chmurka, snująca się uprzednio po rysach twarzy anglika, znikła natychmiast; wynurzył on najwyższą radość na myśl o znalezieniu się w orszaku szczytnych umysłów, zgromadzonych pod dachem kardynała Barberini; poczem, ubrawszy się odpowiednio do uroczystości, dwaj przyjaciele niebawem wyruszyli w ulicę, prowadzącą do pałacu kardynała. Tam prześwietny gospodarz — aczkolwiek siostrzeniec panującego papieża i posiadający bezsporne po nim stanowisko władzy nad Rzymem — z uczuciem niepokoju spoglądał z pośród całego grona ku drzwiom, oczekując zaalpejskiego gościa. Dostrzegłszy nakoniec Holsteniusa i jego przyjaciela, pospieszył ku wchodzącym i ująwszy dłoń ostatniego, powitał go serdecznie, jako pożądanego. Następnie poprowadził go na wspaniałe wschody zapełnione orszakowymi w najpyszniejszych liberyach i lśniące bezlikiem lamp, aż w końcu wszedł do świetnego salonu, w którym zgromadzone było dystyngowane towarzystwo. Tu, po chwilowej pauzie, kardynał podniósł głos i tonem uroczystego zapału oznajmił zgromadzeniu obecność siniora Miltona.

— Onor al altissimo Poeto! (cześć najwyższemu poecie!) — wykrzyknęły setne głosy. Prześliczne rączki rzucały kwiaty na jego głowę, a szlachetne dłonie współzawodniczo dobijały się o uściśnięcie dłoni wieszcza. Uczeni i znakomitości, bogaci, młodzi i piękni — wszystko to gromadziło się z wyrażeniem uwielbienia i radości wokoło genialnego syna Albionu. Poeta Salsilli pierwszy docisnął się do dłoni Miltona i zwracając ku niebu uroczyście poważne spojrzenie, donośnym głosem wypowiedział następujący wiersz:

Ustąp Melesie, ustąp i ty Mincio;
Niech Sebetas przestanie już opiewać Tassa,
A zwycięzka Tamiza niech toczy swe wody
Wyższe nad wszystkie,
Przez ciebie bowiem Miltonie, jeden dorówna trzem.

Na tę niespodziewaną salwę dowcipu sala zagrzmiała oklaskami, które nie pierwej ucichły, aż z drugiego końca sali odezwał się głos, w którym poznano poetę Selvaggi:

Niech Grecya chlubi się wieszczem meońskim,
Niech Roma chlubi się swoim Wirgilim;
Anglię zaszczyca równy obu — Milton.

zdawał sprawę o obecnym stanie badań archeologicznych w Austryi. Badania te wzniosły się na wyżynę nauki nowoczesnej dopiero z chwilą powstania wiedeńskiego Towarzystwa antropologicznego, a postępowały głównie dzięki niezmordowanej pracy zmarłego dyrektora muzeum wiedeńskiego, Hochstettera, który najbardziej się przyczynił do powstania znakomitych zbiorów antropologicznych i etnograficznych, wcielonych dziś do muzeum wiedeńskiego *). Obecnie w badaniach archeologicznych przeważa kierunek techniczno-przyrodniczy; stulecie nasze wykopuje, podczas gdy poprzednie hołdowały tradycyi pisanej, a filologię czciły jako matkę nauk. Dr. Naue z Monachium opisywał wykopaliska bawarskie z epoki bronzu; Bawarya liczy obecnie 280 grobów z tego okresu, świadczących o niezwykle rozwiniętym przemyśle artystycznym. Virchow mówił o starożytnościach Transkaukazu, które studyował wraz z Hegerem po kongresie ruskim w Tyflisie. Po Virchowie hr. Wurmbrandt wygłosił odczyt o pokrewieństwie form bronzu w różnych krajach znajdowanego. Żywe zajęcie obudził wykład panny Zofii de Torma z Siedmiogrodu o literach wyrytych na wykopaliskach trako-dackich. Młoda uczona dowodziła, że kultura babilońska i asyryjska wpłynęła na Dacyę, czego dotychczas nie przyznawano. Profesor anatomii na wszechnicy wiedeńskiej, dr. Zuckerkandl, mówił o fizycznej organizacyi ludności styryjskiej i karynckiej. Ludność ta jest mieszaną, podobnie jak wszystkie niemal ludy cywilizowane. Wskazuje to głównie znaczna liczba różnorodnej formy czaszki. Zuckerkandl skłania się ku przypuszczeniu, że krótka forma czaszki cechuje żywioły słowiańskie, długa natomiast świadczy o pochodzeniu germańskiem. W czasach przedhistorycznych napotyka się u niemców, zwłaszcza północnych, niemal wyłącznie czaszki długie; atoli zdaje się, że już bajuwarowie, którzy zmieszali się z słowiańską ludnością Styryi i Karyntyi, byli ludnością mieszaną.

Dr. Schaffhausen z Bonny, w wykładzie swym o kraniologii dzisiejszej zwracał uwagę na doniosłość pewnych cech w czaszkach, których mierzyć nie można; wszystkie organiczne funkcye odbijają się na czaszce, która dopuszcza wnioski nietylko o wieku, płci, rasie, lecz o wielkości, sposobie odżywiania, sile mięśniowej, respiracyi i inteligencyi. Należy zwracać uwagę głównie na formę otworu nosowego i tylnego otworu głowy, następnie na jakość uzębienia. Wreszcie Schaffhausen zwrócił się przeciw projektowi palenia trupów, którego wykonanie byłoby szkodliwem dla antropologii przyszłych wieków.

Na uwagę zasługiwał odczyt dr. Marchesetti'ego, dyrektora muzeum Di Storia naturale w Tryeście o wielkm nekropolu w Santa Lucia, zawierającej przeszło jedenaście tysięcy grobów, z których 4,000 już zbadano. Wykopaliska odnośne wykryły istnienie nowej grupy kulturalnej, t. zw. istryańskiej, rozciągającej się aż na Bałkan. Zajmujące wywody dr. Ciro Truhelki o grobach Bośni zawierały wiadomości nowe dla większości zgromadzonych antropologów. Bośnia swego czasu zdołała się oprzeć naporowi legionów rzymskich i kultury rzymskiej; tej okoliczności przypisać należy, iż starożytności jej zachowały się wybornie. Nekropol w Glasinac, mieszczący około 6,000 grobów, dostarczył już mnóstwo zajmujących wykopalisk muzeum wiedeńskiemu i zbiorom krajowym w Bośni. Wykopaliska te mają po części formy oryginalne, nieznane dotychczas.

W ostatnim dniu wysłuchano jeszcze odczytu profesora Christomanosa z Aten o nowych wykopaliskach w Terazyi na Santorynie, znalezionych pod pokładem krateru wulkanicznego. Są to garnki ozdobione figurami geometrycznemi, a zawierające resztki potraw. Malarz L. H. Fischer, pokazywał wzory ozdób indyjskich, które przywiózł właśnie z podróży, w której miał towarzyszyć hr. Lanckorońskiemu.

Wiele rozprawiano o sposobach ochraniania wykopalisk i o niezbędnej zmianie ustawy o przedmiotach wykopywanych; wnoszono, aby państwo nietylko zrzekło się przypadającej mu $^1/_3$ wartości znalezionych przedmiotów, lecz aby znalazca zobowiązanym był odstąpić przedmioty znalezione państwu za pełną cenę wartości. Virchow, Fraas, Schaffhausen i Ranke zdawali sprawę z czynności poszczególnych komisyj naukowych; Virchow referował o sprawie jednolitego przeglądu organizacyi fizycznej szczepów niemieckich i o regularnych publikacyach świeżych wykopalisk; Fraas o potrzebie nowych map przedhistorycznych; Schaffhausen o katalogu antropologicznym o wymiarach miednicy, Ranke wreszcie o wspólnym szemacie dla pomiarów ciała, zwłaszcza w zastosowaniu do rekrutów; zgodzono się na 12 miar, które uwzględniać należy.

Naturalnie że nie obeszło się bez licznych „skromnych“ kolacyjek i kilkakrotnie powtórzonego szeregu toastów na zdrowie panujących, na postęp nauki, na chwałę niemców i na zbratanie zwaśnionych ras. Stolica naddunajska przyjmowała uczestników zjazdu gościnnie i wystawnie; odmówiła im jednej tylko przyjemności: dobrego teatru. Wiedeń, niegdyś miasto teatralne *par excellence*, od lat kilku już podczas sezonu kąpielowego i podróżowego nie spełnia wymagań, jakie słusznie stawia się wobec wielkiego miasta stołecznego. W chwili, kiedy w Londynie i w Paryżu dla publiczności stoi otworem 20 teatrów, w Berlinie 4, w Medyolanie 3, w Rzymie i w Peszcie nawet 2, w Wiedniu wszystkie lepsze sceny są zamknięte. Opera, po przerwie 6-tygodniowej, w sierpniu jest otwartą; lecz Burgtheater otwierają dopiero z pierwszym września, mniejsze sceny później jeszcze. Niejednokrotnie szukano przyczyn tego zjawiska, opierającego się głównie na zwyczaju publiczności wiedeńskiej, która w tych miesiącach zupełnie teatr zaniedbuje. Nadmienić należy, że dawniej zajęcie dla teatru w Wiedniu nie zmniejszało się w miesiącach letnich. Najlepszą tego miarą jest okoliczność, że w owej porze wystawiano nowości, i to nowości wcale wybitne! Dziś żaden autor nie zgodziłby się na wystawienie sztuki swej o porze, w jakiej niegdyś Bauernfeld, Freytag i Gutzkow święcili tryumfy w Burgu. Szylera „Intrygę i miłość“ wystawiono w Burgu po raz pierwszy 23 lipca, „Don Carlosa“ 23 sierpnia; Szekspirowskiego „Koriolana“ 10 czerwca, Grillparzera „Ahnfrau“ 21 sierpnia. Zdaje się, że Laube najtrafniej oznaczył powód zmiany, jaka w tym względzie zaszła w Wiedniu. „Wiedeń ma zbyt piękne okolice — zwykł był mawiać zakłopotany dyrektor Burgteatru przy końcu maja—lokomotywa jest śmiertelnym wrogiem teatru.“ Istotnie bowiem, od kiedy nastały koleje żelazne i pociągi lokalne, wiedeńczycy używają każdego pięknego wieczora letniego, by przepędzić parę godzin w prześlicznych okolicach Mödlingu, Badenu i Feslandu, na Kahlenbergu lub w Brühl. Teatr, któryby miał dawać przedstawienia w tym czasie, nie mógłby się obejść bez znacznej subwencyi. W radzie gminnej uczyniono wniosek odnośny, który na jesień przyjdzie pod obradę.

W chwili, w której ta wiedeńska nędza teatralna ma się ku końcowi — właśnie bowiem Burgteater ogłasza, iż na d. pierwszy września otwiera scenę tradycyonalnym „Sędzią z Zalamei“ — rzućmy okiem na ubiegły sezon Burgteatru. W r. 1888/9 dano w teatrze tym 278 przedstawień, grając 93 sztuki 61 autorów. W liczbie tych sztuk mieściło się 23 tragedyj, które grano 64 razy, 34 dramatów, które dawano 118 razy, wreszcie 36 komedyj, które wystawiono 146 razy. Widzimy więc, że i ta najpoważniejsza może instytucya teatralna, subwencyonowana przez cesarza, istniejąca zatem bez dolegliwych trosk materyalnych, składa hołdy swe muzom w tym samym niemal stosunku, jak teatry polskie, zostające bardziej na łasce publiczności, która śmiech nad płacz przenosi. Godne uwagi są jeszcze cyfry następujące: wystawiono sztuki 35 autorów niemieckich 220 razy, 18 poetów francuskich 69 razy, Szekspira 18 razy, 3 poetów hiszpańskich 13 razy, 2 włoskich 6 razy, Sofoklesa 4 razy, węgra Doczi'ego 3 razy. Dano 10 nowości, które powtórzono 69 razy. Najczęściej grywano Szylera, po nim Grillparzera.

Stwosz.

*) O zbiorach tych, celujących bogactwem, donieśiemy w jednym z listów następnych.

Grzmoty oklasków podniosły się, a Milton począł pewnego rodzaju zakłopotanie, w jaki sposób zdołałby się wywzajemnić za tak nadzwyczajne i niespodziewane pochwały. Ale z zakłopotania wyzwolił go gospodarz, prosząc, ażeby usiadł obok niego, a wkrótce potem zawiązał z nim bliższą rozmowę.

— Mówiono mi, sinior Milton — rozpoczął kardynał — że jesteś wydoskonalonym w boskiej sztuce muzyki.

— Mogę przyznać sobie tylko mierną znajomość tej sztuki — odpowiedział poeta — ale zawsze byłem szczególnie wrażliwy na jej potęgę i w niejednej okoliczności doznałem nadzwyczajnej jej władzy nad memi uczuciami. Ojcu mojemu, który wysoko był posunięty w teorii muzyki, oraz przyjacielowi i współziomkowi, Henrykowi Lawes, którego sława, jak sądzę, nie jest obcą nawet w tej klasycznej krainie śpiewu, zawdzięczam skromną mą wiedzę w tym rodzaju.

— Nie, nie, sinior Milton, wiedza pańska jest o wiele rozleglejszą, aniżeli zechcesz to przyznać. Wsławiona Leonora Baroni, która dopiero co opuściła salon, ale wkrótce tu powróci, niedawno przed przybyciem pana zachwycała naszo towarzystwo wytwornem odśpiewaniem ułożonej przez siebie boskiej melodyi, odpowiadającej jeszcze bardziej boskim słowom pańskim, które wymownie dowodzą, że posiadasz duszę i uczucie wysoko natchnionego muzyka.

Poczem kardynał wygłosił z energią i dokładnością, chociaż z mocno cudzoziemskim akcentem, następujące angielskie wiersze Miltona, które podajemy w dosłownym przekładzie:

„Błogosławiona paro Syren, wy zadatki niebiańskiej [radości!
Harmoniczne siostry, rodem ze sfer: Głosie i Wierszu!
Zespólcie boskie dźwięki i połączcie się w jedną [potęgę
Zdolną natchnionem uczuciem przeniknąć martwe [jestestwa.“

„Przed uniesioną wyobraźnią naszą
Roztoczcie ową niezakłóconą pieśń czystej harmonii,
Co wiecznie brzmi przed tronem z szafiru
Temu, który na nim zasiada
Wśród świętej i uroczystej hosanny;
Gdzie Serafiny promiennymi rzędy
W anielskie trąby hucznie uderzają.
A w chórów krociach cherubów zastępy
Grają na złotych harfach nieśmiertelnych
I wraz z prawymi duchy — w swych dłoniach
Zwycięzkie niosą palmy — nucą hymny
I święte psalmy przez wieki, na wieki!“

(D. n.).

LISTY Z WYSTAWY PARYSKIEJ.

III.

Jeszcze słów kilka o ogólnym charakterze pawilonu Sztuk wyzwolonych.—Różne działy, mające związek z historyą technicznego rozwoju ludzkości.— Antropologia kryminalna, wystawa prawodawstwa karnego i instytucyj poprawczych. — Zarzuty przeciw twierdzeniom antropologii kryminalnej. — Wykłady Topinarda i nasi olimpijczycy. — Zakulisowe sprawy na wystawie.

W poprzednim liście poruszyliśmy drobiazgowo dział geograficzny i szkolny, albowiem nadawały się one najbardziej do przedstawienia rozmiarów materyału, nagromadzonego w pawilonie Sztuk wyzwolonych. Mówiliśmy o nich, jako o zgoła odrębnych a samodzielnych całościach. W gruncie jednak rzeczy są one jedynie pojedyńczemi cząstkami ogólnego obrazu, w pewien dość systematyczny sposób ułożonego i zestawionego, a który ma na celu przedstawienie całokształtu technicznego i naukowego rozwoju ludzkości. Zresztą zarys dziejów wiedzy wyszedł bardzo skąpo i wadliwie; zaledwie geografia, astronomia, chemia i poniekąd fizyka wystąpiły z jakąś próbą w tym kierunku, przytem, z wyjątkiem pierwszej, zazwyczaj nader powierzchowną i niedokładną. Natomiast historya techniki wytwórczej przedstawia się okazale, i niektóre części nie nie pozostawiają tutaj do życzenia we względzie systematyczności i bogactwa.

Przy samem wejściu do sal, położonych w pośrodku dziedzińca Sztuk wyzwolonych, archeolodzy francuscy pośpieszyli z wystawą okazów techniki przedhistorycznej. Oglądamy zatem narzędzia z kamienia i kości, od najprostszych i najniezgrabniejszych aż do najbardziej wydoskonalonych. Ułożono je według starożytności i przedstawianego typu. Obok pomieszczono podobne wytwory tegoczesnej dzikości i barbarzyństwa; widz z wszelką łatwością może przeprowadzić pomiędzy niemi porównania i wysnuć samemu wnioski co do dróg, któremi kroczy ludzkość w swym rozwoju technicznym. W dziedzińcu wystawiono olbrzymie odtworzenia różnych etapów techniki ludzkiej. W pośrodku rozsiadł się naturalnej wielkości obóz samojedów, jako uzmysłowienie epoki reniferowców przedhistorycznych Francyi, nieco zaś opodal podobne obrazy wytapiania rudy żelaznej przez murzynów i wyrabiania papieru u azteków. W dalszym ciągu idą grupy równie naturalnej wielkości, wyobrażające pierwociny przemysłu ludzkiego a ukształtowane stosownie do wskazówek wiedzy archeologicznej. Widzimy tutaj pra-europejczyków z epoki mamuta, odłupujących od rdzenia krzemiennego mniejsze kawałki — noże, skrobaczki itd.; jaskiniowców z czasów renifera, siedzących pod występem skały nad wyrobami z kości; budowniczych z epoki kamienia szlifowanego, pracujących nad wzniesieniem dolmenu; metalurgistów z okresu bronzowego, którzy pracują właśnie nad wytopieniem metalu. Wreszcie zaczyna się epoka historyczna. Stajemy w kramiku garncarza gallo-rzymskiego z II w. po Chrystusie; na półkach leżą glinjane wyroby, sklep urządzony według ówczesnych wzorów. Nieco dalej mamy pracownię garncarza ateńskiego z V. w. przed Chrystusem, czworo osób zajmuje się tutaj fabrykacyą i wypalaniem wytwórczych dzbanów; jeszcze dalej, w przeciwnej stronie sześciu chińczyków siedzi w warsztacie nad emaliowaniem naczyń. Dokoła idą galerye z wyrobami ceramicznymi, urządzone stosownie do historyczno-technicznego rozwoju kunsztu, od niezgrabnych szczątków kopalnych przedhistorycznej Europy aż do najwytworniejszych okazów sztuki klasycznej. Podobnie usiłowano przedstawić dzieje tkactwa; znajdujemy tutaj warsztat tkacki egipski z przedstawieniem samej produkcyi, ale zamiar wyszedł nieudatnie z braku materyału. Wszędzie, w obrazie każdego zawodu, za punkt wyjścia służy odtworzenie warsztatu z jakiejś jednej epoki, dokoła którego skupia się już wcześniejszy i późniejszy rozwój rzemiosła. Przed oczami przesuwają się pracownie stolarzów, ślusarza, zegarmistrza z w. XVII i XVIII... Gdzieindziej spostrzegamy izbę średniowiecznego alchemika, odtworzoną według ówczesnych wzorów, z postacią grzebiącą coś w retorcie; obok pomieszczono pracownię Lavoisiera z narzędziami, wagami itd., co pozostały po nim w spuściznie; wreszcie oglądamy w dalszym ciągu nowoczesne laboratoryum chemiczne. W każdym dziale przebija się chęć unaocznienia całokształtu odpowiedniej produkcyi chociażby w jakimś jednym z ubiegłych okresów rozwojowych. Pracujące w odtworzonym warsztacie podobizny posągowe są naturalnej wielkości i w ubiorze epoki: bywają one czasami bardzo liczne, w warsztacie np. tkackim staro-egipskim pracuje cztery, w chińskim znowu emaliowym sześć osób. Dokoła warsztatu drukarskiego w Chinach z w. XIX. przed Chr. skupia się historya pisma; w innem miejscu w podobny sposób ustawiono dzieje już instrumentów muzycznych i malarstwa, już rzeźby i sztuki teatralnej. To znowu oglądamy technikę środków przewozowych w historycznym przebiegu doskonalenia. Widzimy najrozmaitsze wozy i lektyki; wieże umieszczane na słoniach; to znowu mosty, kanały, gościńce; modele statków i środków żeglarskich; gdzieindziej znowu uszeregowano rozwój motorów przewozowych i sztuki balonowej.

Nie wyliczamy możliwych działów rozwoju technicznego, które doczekały się przedstawienia na wystawie, gdyż to zaprowadziłoby nas zbyt daleko. Czytelnik zaś prawdopodobnie już i obecnie wyrobił sobie dostateczne wyobrażenie o charakterze pawilonu Sztuk wyzwolonych, a jest to rzecz, o którą nam głównie chodzi. Jakeśmy już wspominali, pawilon ten jest to poprostu zbiór dziejów kultury ludzkiej w całem znaczeniu słowa. Nawet działy czysto teoretyczne, jak geografia, są urządzone z tego samego rozwojowego punktu widzenia i harmonijnie zlewają się w jedną całość z resztą zebranego materyału. Przytem należy zauważyć, że w różnych miejscach wystawy rozproszono jeszcze niektóre dziedziny. Stały korespondent paryski *Prawdy* mówił już drobiazgowej o historyi mieszkań ludzkich; pomijam ją i wspomnę tylko o pewnym, nader zajmującym dziale w pawilonach hygieny, mianowicie o przedstawieniu dziejów pielęgnowania niemowląt. Widzimy tu równie kołyski z oznaczeniem epoki historycznej i szczebla kulturnego kiedy je używano, sposoby powijania i noszenia, ubiory dziecinne, naukę chodzenia... Podobny widok historyczny sposobów walczenia przedstawiają równie pawilony sztuki wojennej.

Antropologia stanowi cząstkę tylko co naszkicowanej całości. W tym dziale mamy najprzód kilka sal z antropologią rasową; następnie idzie reprezentowana wyłącznie przez włochów wystawa antropologii kryminalnej, do której zaliczyć można też galeryę więzienną. Mieliśmy zamiar pomówić o tej ostatniej w oddzielnym artykule; zbrakło jednakże czasu na dokładne i systematyczne przejrzenie zbioru i zmuszeni jesteśmy poprzestać jedynie na wyszczególnieniu nagromadzonego tutaj materyału. Widz ogląda kodeksy karne i sposoby karania, wymierzane w różnych historycznych epokach; ubiory więźniów, tortury, sposób tracenia, więzienia, postępowania sądowe, obchodzenie się codzienne z więźniami średnich; procesy przeciw czarownicom i literaturę ówczesną w tej mierze. Wreszcie stajemy wobec okazów chwili tegoczesnej. Modele różnych więzień z wewnętrznem urządzeniem; panorama, przedstawiająca całokształt postepowania policyjnego i sądowego od odkrycia i aresztowania zbrodniarza aż do stracenia lub wypuszczenia po odsiedzeniu kary; życie wewnętrze z dnia na dzień; ostatnie chwile traconych; warsztaty; celki pojedyncze, zbiorowe sale. Wystawa wyrobów więziennych, statuty, literatura tycząca się kar, dyscypliny więziennej lub reformy więzień itd. Z nieprzyjemnem i przykrem uczuciem opuszcza się tę wystawę „fortec wewnętrznych," jak możnaby nazwać dział opisywany; wrażenie to zostaje jeszcze spotęgowane, kiedy zwrócimy swe kroki ku pobliskiej wystawie kryminalistyki poprawczej z jej towarzystwami czuwania nad wypuszczonym więźniem, modelami osad poprawczych, środkami nieustającego śledzenia i krępowania jednostki. Zarzuceni zostajemy tutaj ustawami różnych stowarzyszeń opieki; z smutkiem przeglądamy ofiarowane broszury, myśląc ile tu idzie funduszów i szlachetnych usiłowań na marne w krzątaniach około zahamowania potoku zbrodniczego, w coraz zwiększonym rozmiarze wyrzucanego przez nowoczesne społeczeństwo. Czy nie lepiej byłoby obrócić te środki ku przeprowadzeniu reformy stosunków społecznych, co często stawiają kradzież jako jedyną ucieczkę przeciw głodowi?.. Dla uzupełnienia obrazu wejdziemy do sali, gdzie usadowiła się antropologia kryminalna. Niewielka to przestrzeń, gdyż oko spostrzega zaledwie kilka szaf i nad niemi w górze parę tablic. Wszędzie mamy tutaj do czynienia z nazwiskami uczonych włoskich. Na ścianach rozwieszono tablice graficzne, ułożone dla Francyi przez Laschiego i Lombrosa, a usiłujące przedstawić wzajemną zależność pomiędzy rasą i zaludnieniem kraju z jednej strony, obfitością geniuszów i zbrodni politycznej z drugiej; inne, z terytoryów włoskich, dla związku pomiędzy częstością objawów epileptycznych a zbrodniczych. W tym samym szeregu wiszą portrety wybitniejszych zbrodniarzy i okazy tatuowania wśród przestępców. Z pewnym niepokojem przyglądamy się szafom. Za szkłem, na poduszkach, leżą głowy, a raczej naturalnej wielkości modele głowy, zdjęte z typowych „zbrodniarzy z urodzenia." Wykrzywione, niesymetryczne twarze; kły znacznej wielkości; nienormalny zarost; silna szczękoskośność; grube wargi; wzrok dziwnego wyrazu. Oglądamy tutaj podobizny zabójców, gwałcicieli, zrodniarzy-epileptyków. Obok modeli pomieszczono czaszki tych samych osób. Wśród wystawców nazwiska pp. Sergi i Tencini, najczęściej rzucają się nam w oczy. Prof. Fiardispini przysłał bogaty zbiór, tyczący się epilepsyi i zbrodni. Lombroso pośpieszył z nader ciekawą wystawą ceramiki kryminalnej, tj. naczyń polewanych z rysunkami, wyżłobionymi w polewie przez zbrodniarza a ponuro wypowiadającymi ideały i marzenia chuciowe więźnia... Ferri wystawił album kryminalnych typów. Na półkach rozrzucono literaturę przedmiotu. Zauważyliśmy już, że jako wystawcy wystąpili jedynie włosi, aczkolwiek i we Francyi nie zbywa na gorących poszukiwaczach i zwolennikach w tym kierunku. Do powyższej uwagi dorzucić musimy niechęć, z jaką prof. Topinard zatrzymuje się nad szafami antropologii kryminalnej. Załatwia się zresztą szybko z tutaj wystawionymi okazami. Niektóre zarzuty są bezwarunkowo słuszne. Wiadomo, np. iż barwa włosów, kształt podłużny lub okrągły czaszki są znamionami rasowemi, wówczas gdy kryminaliści-antropolodzy włoscy usiłują z nich uczynić cechy zbrodnicze. Francuski uczony napiera w dalszym ciągu, iż zbrodnia jest przedewszystkiem płodem warunków społecznych, lecz przytem zupełnie i jednostronnie, zdaje się, odmawia wszelkiego znaczenia czynnikom antropologiczno-organicznym, stawiając wyżej po nad nie chociażby „złą lekturę!"

W towarzystwie prof. Topinarda udajemy się do sal antropologii rasowej. Poprzednio jednak pozwolimy sobie na niewielkie odchylenie w kierunku swojskiej nauki. Wszak znasz, czytelniku, zasługi większości naszych uczonych? Ten opisał jakiegoś robaczka na zasadzie własnych spostrzeżeń; ów nową maszynę lub przyrząd fizyczny według czasopism specyalnych zagranicznych; jakiś inny podaje wiadomości o różnych odkryciach w chemii... Ale powiedz któremu z nich, iż warto byłoby napisać coś popularnego dla szerszych kół, a przyjmie to za osobistą obrazę i posądzi śmiałka, że chciałby „sprofanować“ naukę. Tymczasem we Francyi istnieje spore grono wybitnych badaczów, wśród których nieżyjący Broca, Berlillon i znajdujący się jeszcze w pełni życia Topinard, Vinson, Mortillet i in. cieszą się światową sławą. Otóż ci olbrzymi wiedzy i zasługi są jakoś zgoła odmiennego zdania. Nie wstydzą się oni wydawać jak najpopularniejszych broszur ani też nie posiadają dziewiczej wstrzemięźliwości naszych olimpijczyków względem poruszania w najpoważniejszych swych dziełach tego lub innego zagadnienia społecznego. Właśnie Topinard urządza podczas wystawy wykłady z antropologii. Dwa razy na tydzień o godzinie dziesiątej z rana wyczekuje na publikę, która raczyłaby wraz z nim z jakieś trzy godziny posiedzieć w galeryach antropologicznych. Wśród zabłąkanych słuchaczy widzimy najrozmaitsze postacie: sutannę duchownego, czepek zamożnej włościanki, kapelusz „rzeczywistej“ paryżanki, która dotychczas nie słyszała nawet, iż istnieje jakaś antropologia... Profesor oprowadza zebranych słuchaczy wśród zbiorów, starając się wybór okazów w ten sposób uszeregować, aby dobrana a raczej niedobrana publika w rezultacie mogła otrzymać każdorazowo całkowite pojęcie o zadaniach i celach nauki antropologicznej, zdobytych przez nią podstawowych twierdzeniach lub o stosowanych metodach badań; czasami stara się z antropologicznego punktu widzenia oświetlić niektóre kwestye społeczne. Uważnie przygląda się wyrazowi twarzy u swojego różnobarwnego grona słuchaczów i, jeżeli spostrzeże iż ktoś niezupełnie pojął go, powtarza jeszcze raz z większą przystępnością... Bywają chwile znowu, kiedy przed zebranymi odsłania niektóre tajniki wystawy w odpowiednim zakresie. Przy zbiorach Ridleya z Bengalii, wynoszących do 800 okazów antropologicznych i etnograficznych, opowiada, jak rząd angielski wystąpił przeciwko ich wystawieniu urzędowemu ze strony władz bengalskich, z rozkazu których tylko co wspomniany etnograf je zgromadził; przysłano je jednak nieurzędownie, jako prywatne zbiory Ridleya. Z szyderstwem opowiada o szowinizmie uczonych niemieckich, którzy ze znanych pobudek odmówili uczestniczenia w wystawach i zjazdach międzynarodowych naukowych, urządzonych w Paryżu, i z tem większem uznaniem zatrzymuje się nad przedmiotami, wysłanymi przez Schaffhausena, jedynego profesora i uczonego niemieckiego, który umiał wznieść się po nad narodowościowe przesądy. Albo przebąknie słów kilka znowu o innym kraju, który powstrzymał drogą urzędową wysłanie antropologicznych okazów, przygotowanych zbiorowemi siłami swoich uczonych... Szczegóły to ciekawe, rzucają bowiem światło pewne na różne zakulisowe sprawy i tem silniej unaocznają zasługi tej garstki uczonych francuskich, która pomimo wszystkiego zdobyła się na tak bogate zbiory jak w dziale geograficznym i innych.

W towarzystwie Topinarda wkroczymy do galeryj antropologicznych, co uczynimy w przyszłym liście.

Lud. Krz.

SPRAWY EKONOMICZNE.

PRZEMYSŁ POLSKI WOBEC RUSKIEGO.

Sprawa domniemanej przewagi przemysłu polskiego nad ruskim, która niedawno jeszcze tak żywo wstrząsała obie prasy, dostarczała zarobku publicystom różnej miary i bezstronności, oraz spowodowała komisye badawcze — zaczyna się coraz lepiej wyjaśniać. Ważnego przyczynku do wyświetlenia tej kwestyi dostarcza wydane niedawno przez departament handlu i rękodzieł sprawozdanie z badań dokonanych przez Iljina i Łangowoja nad przemysłem Królestwa Polskiego. Badania te dotyczą głównie okręgów łódzkiego i sosnowieckiego. Zbyt drobiazgowy, chociaż niezmiernie ciekawy jest opis 35 największych fabryk okręgu łódzkiego, zajętych przeważnie tkactwem, żebyśmy mogli w szczupłych ramkach naszego artykułu powtarzać go, ale wybierzmy rysy najznamienniejsze. Przemysł bawełniano-tkacki całego rzeczonego okręgu dzielą autorowie sprawozdania na trzy grupy wybitne, stosownie do rodzajów wyrobów: fabryki pierwszej zajęte są przygotowaniem przędzy z bawełny czystej, oraz t. z. towaru „bielowego,“ drugiej — przeróbką odpadków na przędzę, oraz wytwarzaniem towaru ciężkiego (barchanu natykanego itp.) i trzeciej — dostarczaniem taniej przędzy wigoniowej, mieszaniny bawełny farbowanej z wełną w stosunku 2—10%. Przemysł bawełniany łódzki cechuje brak produkcyi perkalu drukowanego i istnienie mnóstwa drobnych przędzalni obok dużych. Przyczyną pierwszego z tych objawów jest brak wody. Stąd też wszystkie fabryki w Łodzi muszą się w nią zaopatrywać za pomocą studzien arteczyjskich, w których jednak nigdy jej niema w takiej obfitości, żeby się nie dała wyczerpywać lub w czasie suchego i gorącego lata nie wsiąkała, powodując tem zmniejszenie skali produkcyi w fabrykach. Radzą sobie na to fabrykanci pogłębianiem studzien, ale wtedy woda taka zawiera w sobie dużo soli, różnych i niepożądanych dla techniki farbierskiej. Wszystko to razem nie sprzyjało wytwarzaniu perkali, gdy tymczasem niezwykłe wytężenie się przemysłu bawełnianego, zaszłe w 1873 r., wymagało rozszerzenia rynku wewnętrznego, czyli innemi słowy, produkcyi takiego towaru, któryby, jak perkale, mógł być przedmiotem spożycia u niezamożnych warstw ludności. Stał się nim wyrób ciężki: barchan i trykot, wyrabiane dotychczas tylko w Saksonii. Ciemny barchan przypadł do gustu ludowi i zastąpił drogą a nietrwałą flanelę. Coraz większy popyt na tę nową tkaninę wywołał mnóstwo fabryk nietylko w Królestwie Polskiem, lecz i w Cesarstwie, tak dalece, że dziś ani jednej niema śród łódzkich tkalni, któraby nie wytwarzała barchanu, trykotu itp. półsukien.

Co się tyczy drugiej cechy przemysłu bawełnianego, istnienia małych przędzalni w Łodzi, to ma ono, zdaniem autorów sprawozdania, zależeć od produkcyi przędzy wigoniowej. Ojczyzną jej, jak barchanu, jest Saksonia, skąd ją przywożono do Rosyi aż do r. 1879, a później, skutkiem ustanowionego cła na nią w walucie złotej, przeniesiono jej wytwarzanie do Królestwa Polskiego. Podobieństwo techniczne przędzalnictwa wigoniowego i wełnianego było powodem, że skutkiem niedawnego zastoju w tem ostatniem drobne fabryki jęły się przędzy wigoniowej i obecnie jest ich 6 z 39,418 wrzecionami. Tej przyczyny, naszem zdaniem, za mało. Byt małych przędzalni warunkuje jeszcze techniczna właściwość produkcyi barchanu itp. tkanin. Fabrykanci używają do nich taniej przędzy z odpadków bawełnianych, której wyrobem trudnią się mianowicie owe małe przędzalnie.

Ale przystąpmy do ogólnych wywodów, do których autorowie sprawozdania przyszli. Idzie im o danie odpowiedzi na pytanie przemysłowców ruskich: „czemu Sosnowice i Łódź zwyciężają Moskwę?“ Przemysł polski odznacza się przedewszystkiem posiadaniem dużych ośrodków fabrycznych i skupieniem w nich fabryk o różnorodnej produkcyi. Łódź np. ma 200 fabryk i 100,000 robotników, zajętych stałą fachową pracą, stanowiącą dla nich jedyne źródło utrzymania. To samo da się powiedzieć o Zgierzu, Tomaszowie, Ozorkowie itd. Stała, przykuta do danego miejsca armia fabryczna, jest niezbędnym warunkiem pomyślności gospodarki kapitalistycznej — to fakt stwierdzony. Przytem istnienie w Łodzi różnych zakładów pomocniczych, jak np. odlewni, rytowni, wyrobu berd itp. czyni zbytecznem dla właścicieli przędzalni i tkalni prowadzenia u siebie odnośnych warsztatów i pracowni. Nadto takie zróżniczkowanie produkcyi ułatwia wykształcenie zdolnych majstrów, których fabrykanci mogą mieć pod ręką. Tymczasem nic podobnego nie przedstawia przemysł ruski, rozproszony w pojedynczych, samotnie rozmieszczonych po wsiach fabrykach. Drugim przywilejem przemysłu polskiego ma być jakość klasy roboczej oraz stosunki przyjazne między nią a przedsiębiorcami. Co do moralnych zalet robotników, to zaufanie chlebodawców, pokładane w nich i wyrażające się, jak zaznaczono w sprawozdaniu, brakiem dozoru, zdaje się dostatecznie świadczyć. Ale przyjaźń między przedstawicielami siły roboczej i kapitału, podnoszona tak wysoko przez pp. Iljina i Spółkę, należy, niestety, do złudzeń serca pełnego uczuć chrześciańskich. Niema jej pomiędzy tymi czynnikami dzisiejszej produkcyi za granicą, której przewagę aż clami się odpiera; dlaczegóż miałaby istnieć u nas?.. Najlepiej spytać o nią u sądów i inspekcyi fabrycznej, zarzucanych skargami robotników na przedsiębiorców. Badaczów przemysłu łódzkiego okręgu musiał zachwycić napad filantropijny fabrykantów zgierskich i tomaszowskich w czasie przesilenia sukienniczego w r. 1884 oraz fakt, że tam dotychczas nie ujawniło się żadne poważne starcie robotników z administracyą, w rodzaju np. niedawnej zmowy węglarzy dąbrowskich. Kary tylko pieniężne za niezachowanie prawideł fabrycznych i niweczenie materyału, mają być podobno nieznaczne i rzadko stosowane, coby raczej dowodziło dość wysokiego stopnia tresury siły roboczej, dobrze nagiętej do wymagań kapitału, niż harmonii przyjacielskiej tych dwóch biegunowo sprzecznych żywiołów. Zresztą przymioty osobiste fabrykantów łódzkich, zaznaczone już przez Janżuła, a które i nowi badacze podnoszą, mianowicie gruntowna znajomość techniki wytwarzania i, co ważniejsza, ciągła, trwająca 12 godzin dziennie, obecność ich przy robotach, a nawet udział w nich do pewnego stopnia — są zarazem i plastrem kojącym i ostrogą pobudzającą dla robotnika. Wiadomo przecie, jak ważnym czynnikiem, podnoszącym wydajność pracy, jest uczestniczenie w niej samego przedsiębiorcy. Pp. Iljin i Spółka odkryli jeszcze jedną zaletę w fabrykantach łódzkich, która jeżeli nic niema wspólnego ze złudzeniem, może być im przyznaną: niezmiernie mają być czujni na wszelkie ulepszenia techniki produkcyjnej i w lot je chwytają dla zastosowania u siebie.

Niemniej ważnymi warunkami przewagi przemysłu łódzkiego nad wewnętrzno-ruskim jest bliskość kopalni węgla kamiennego i granicy. Wiadomo, że cena paliwa jest okolicznością wyrokującą o tem, czy produkcya wyrobów bawełnianych opłaca się, czy też nie. Cena opału zaś na fabrykach łódzkich chwieje się między $8^3/_4$—16 kop. od puda. Wartość węgla kamiennego od 13 — 16 kop. nie jest wcale niską i przy

niej fabryki w Tomaszowie nie zaniechały-by drew, a w Ozorkowie i Pabianicach — torfu, ale za to łódzkim nie zagraża drożyzna węgla, przeciwnie, wszelki rozwój przemysłu w kraju pociągać będzie za sobą rozszerzenie skali wyzysku tego paliwa. W zupełnie odwrotnym stosunku pod tym względem znajdują się wewnętrze (ruskie) okręgi przemysłowe. Paliwo drzewne jest nierównie droższe od kopalnego i w przyszłości, skutkiem tępienia lasów, stawać się będzie tem droższem. Fabryki ruskie z natury rzeczy muszą robić duże na znaczne okresy zapasy opału, gdy polskie ograniczyć się mogą mniejszymi na 1—4 tygodni. Bliskość zaś granicy daje możność tym ostatnim: 1) zakupna surowca w najkrótszych terminach; 2) dostawy taniej jego oraz maszyn itp.; 3) łatwiejszego śledzenia postępów przemysłu zagranicznego (zwłaszcza wytwórcom towarów sezonowych) i obnajmienia się z ulepszeniami technicznemi: wycieczki za granicę w tych celach są mniej kosztowne. Do tego szeregu warunków, wyodrębniających przemysł polski względnie do ruskiego, dołącza się jeszcze żywioł obcoplemienny — przewyżka niemieckich robotników w stosunku do miejscowych. Na tę okoliczność badacze wzmiankowani kładą mocny nacisk, co zresztą cechuje całą literaturę ruską poświęconą zbadaniu kwestyi walki „kresów z centrem“ państwa. Majster sprowadzony z Niemiec do Galicyi znajduje się odrazu w swoim żywiole: pobiera tę samą płacę, co w ojczyźnie, i język jego zrozumiałym jest, jak w ojczyźnie; gdy tymczasem będąc przeniesionym do rdzennie ruskiego środowiska, musi być opłacany drożej i napotykając trudności w porozumieniu z obcym sobie plemiennie robotnikiem, nie może też przynosić należytej korzyści produkcyi. Jeszcze jeden przywilej — fiskalnej natury: fabryki łódzkie podlegają wygodniejszemu dla nich opodatkowaniu, niżeli środkowo-ruskie. Do ujemnych stron przemysłu łódzkiego należy brak wody już zaznaczony i wyższa względnie stopa płacy roboczej o 20—30%. Ten ostatni wzgląd nie jest jeszcze dostatecznie zbadany — jak słusznie spostrzega *Warsz. Dniewnik* — i winien być ostrożnie branym w rachubę. Wszystko powiedziane o okręgu łódzkim, ze względu na większą blizkość do granicy i kopalń dąbrowskich, jeszcze w wyższym stopniu stosuje się i do sosnowickiego.

Jeśli przyjmiemy wszystkie powyższe fakty, zgromadzone w sprawozdaniu z badań pp. Iljina i Łangowoja za przesłanki wierne, to, odtrąciwszy nierówność opodatkowania, przyjdziemy do dość prawdopodobnego wniosku, że domniemana przewaga przemysłu polskiego nad ruskim tkwi chyba głównie w tem, iż pierwszy na grubszym niż drugi podkładzie kapitalistycznym spoczywa, czyli, ponieważ w dzisiejszym ustroju jest to jednoznaczne: bliższym jest z natury do zagranicy, a w takim razie jako pokrewna gospodarczo cząstka tej ostatniej, groźnej dla młodych plonek kapitalizmu środkowo-ruskiego, zdaje się napraszać od granicy wschodniej o ochronne cła wywozowe...

ANACHRONIZM EKONOMICZNY.

Nie daleką jest chwila, gdy z kolejami żelaznemi zaczną chodzić w zawody nietylko żółwie, ale nawet raki... Oto *Odeskija Nowosti* donoszą, że w guberniach południowych stara, dawno pogrzebana, forma środków przewozowych—*maża* czumacka, zmartwychwstała, podniosła głowę i ośmieliła się parze stawić czoło. W ostatnich czasach szose i drogi uboczne wiejskie zaroiły się niemi, a równocześnie koleje zaczęły spostrzegać ubytek ładunków na swoich stacyach. Wielu kupców wolało użyć wołów i koni czumackich do przewozu wełny z Połtawy, Jekaterynosławia i Achtyrki do Charkowa na jarmark trojecki. Ale co charakterystyczniejsza — *risum teneatis* — że czumacy trudnią się przewozem właśnie między miastami połączonemi kolejami i w tym celu zdążyli już stworzyć sobie równoległe drogi współzawodnicze. Ładunkami ich bywa przeważnie zboże. Całe to zjawisko jest tak dziwne, że warunków jego trzeba szukać chyba w gospodarce kolejnej. Słowiański wózek kapitalizmu w danym razie albo być musi źle smarowany i chroma, albo mocno niesumienny i odstrasza, jeśli na śladach jego kół mogą porastać bodiaki pierwotnego przewozu i bezkarnie kiwać główkami monopolowi. Istotnie, drogi żelazne niedbalstwem, bezładem i grą taryfową — jak utrzymują *Odes. Nowosti* — szkodzą sobie i handlowi najwięcej. Na ich stacyach kupiec spodziewać się musi dwojakiego losu swojego towaru: zgnojenia lub kradzieży. Ostatni wypadek uwarunkowany jest rozmnożeniem się kolejowych agentów-złodziei...

P.

BADANIA NAUKOWE.

NORMANDOWIE W SYCYLII.

Wielkiego dowiodły taktu siły kosmiczne, a mianowicie siły zawiadujące losami naszej kuli, odrywając Sycylię od owego kadłuba, co wybrnął niegdyś z cieśniutkich obrębów „Romy kwadratowej,“ wzrósł następnie do przerażających rozmiarów i szpony polipie wysunął we wszystkie cztery strony świata starożytnego. Od najdawniejszych czasów Sycylia, ta odepchnięta na południe filia starego lądu europejskiego, była krajem najhistoryczniejszym, wystawionym na ciśnienie tysiącznych atmosfer politycznych i społecznych. Kwitła i poruszała się około własnej osi, jaśniała zarówno urokami natury, jak gorącem życiem wewnętrznem, sztuką, poezyą, jak wogóle żądzą strzeżenia swej odrębności pod każdym względem. Dotąd jeszcze ta zachowawczość trwa pod względem zwyczajów, obyczajów, tradycyi, a nawet samego języka, w znacznej części odrębnego od reszty dzisiejszych narzeczy włoskich.

Z pomiędzy ludów lub plemion, które kolejno wstrząsały dziejami tej rozkosznej „oazy morza Śródziemnego,“ najwybitniejszą odegrało rolę podbójcze wdzieranie się w jej sprawy, a ostatecznie wdarcie się w ten piękny, poetyczny organizm, rzymian, powiedziećby raczej należało — jego *legionów*. Wszak bowiem już Scypio odzywał się z pogardą do tłumów, zakłócających w Rzymie ład państwowy, że „Italia jest ich macochą“ — wszak plemienny pierwotyp wykoczował na krańce wschodu i zachodu, składając tam swe kości. Co do dziejów rzymsko-sycylijskich, komuż nie wiadomo, że tu tkwił główny węzeł mocowania się rzymian z Kartaginą i wiekopomnym jej obrońcą, Hannibalem — ostatnim bohaterem, powalonym na wyłomie, oślepłym bojownikiem wszechdziejowej sprawiedliwości?

Z następnych napływów, na które wystawioną była Sycylia, najważniejszym po arabach, był napływ normandzki. Również nie obcem jest czytelnikowi, jaką to trwogą przejmowało ówczesną Europę złowieszcze hasło „normand.“ Pomiędzy pieśniami religijnemi znajdujemy litanię, gdzie wśród modłów o odwrócenie klęsk słyszymy pokorną prośbę: „a populo normanorum libera nos, Domine!“ (od ludu normandzkiego zachowaj nas, Panie!). Wyłoniwszy się z gniazda podpółnocnobiegunowego starożytnych wikingów, korsarstwo to wyruszyło na Sycylię i założyło na niej swoje królestwo. Ślady tego nowego osadu zachowały się dotąd w miejscowych podaniach, przysłowiach, baśniach i samym języku. Ale szczegółowej, w strojny całokształt ogarnionej historyi panowania normandów w Sycylii nie mieliśmy dotąd. Otóż tak ważną próżnię zapełnił obecnie Adolf Fryderyk Schack, w dziele p. n. „Geschichte der Normanen in Sizilien“ o dwóch obszernych tomach (Stuttgard). Imię A. F. Schacka zaszczytnie zapisanem jest w literaturze; przedewszystkiem znamy go jako wybornego tłomacza epopei perskiej Ferdusego „Szachname,“ oraz jako zdolnego poetę, dramaturga i estetyka. Oddawna już sędziwy ten pracownik piastował w duchu myśl ocalenia od niepamięci zacierających się rysów wielkiego faktu, a powziął ją jeszcze w r. 1839, kiedy po raz pierwszy odwiedził Sycylię. Znajomość języków wschodnich, zdolność grupowania rysów i wytrawny gust literacki ułatwiły mu znakomicie trudne, ale nadzwyczaj ważne zadanie. Mianowicie zamierzył on przedstawić historyę zdobycia Sycylii przez synów hrabiego Tankreda Hauteville, oraz okres świetnego panowania następców Rogera aż do czasów obalenia królestwa sycylijskiego przez Henryka VI. Z takiem zadaniem przed oczami, autor nietylko zwrócił się do dawnych kronik, lecz oraz zbadał nowsze opracowania przedmiotu, dotyczące oddzielnych okresów podbicia wyspy przez normandów. Główną postacią, przed którą zatrzymuje się autor— naturalnie z głosem słusznego potępienia— jest Henryk VI. Cios, zadany przez Henryka państwu normandzkiemu, był, zdaniem autora, obaleniem zaszczepionej przez normandów kultury i społecznego postępu. Oto wyrzeczony z tego względu sąd jego o normandach, który niejednemu z czytelników pokaże się uderzającą nowością: „Hrabia Roger i jego następcy poniekąd urzeczywistnili na południowej wyspie wysoką ideę o równouprawnieniu religij pod hasłem bezwarunkowej tolerancyi — a zauważmy, że działo się to na osiem prawie wieków pierwej, nim podobne zasady zaczęły dopiero torować sobie drogę w pozostałej Europie.“ Na jakim zaś gruncie stoi sam autor pod tym względem, wypowiadają następne wyrazy: „Nierozumem, szaleństwem byłoby życzyć dziejom świata innego biegu, niż ten, który właśnie obrali sobie normandowie. Z drugiej znów strony niepodobna zagłuszyć w sobie głosu ubolewania nad tem, że państwo normandzkie, które pod długim szeregiem wysoko myślących książąt, podczas najciemniejszego okresu wieków średnich, rozwijało niezwykłą niezależność myśli i ducha, szczepiąc oraz zaczątki wyższej kultury na polu wiedzy, sztuki i poezyi — że to państwo pod brutalną ręką wyrodnego Hohenstaufa w tak okrutny sposób zapaść musiało w gruzy.“ Przytoczyliśmy ten ustęp, a znajdzie się ich więcej w „Historyi normandów sycylijskich“ — ażeby unaocznić przed czytelnikiem historyozoficzne zapatrywania autora. Głównie przyświecającym mu ideałem jest nieubłagana, nieprzedajna prawda dziejowa. Z potępieniem odpycha on wchodzącą w zwyczaj od niejakiego czasu modę rehabilitowania postaci napiętnowanych przez historyę. Jak żadna ludzka siła nie jest w stanie odwołać klątwy wieków, rzuconej na Werresa, tak nie jest w stanie „postawić w łagodzącem świetle oburzających czynów krwi i łupiestwa Henryka VI.“ O podobnem usuwaniu pręgierza my, mówi dalej autor, wiedzieć i słyszeć nie chcemy. Przeciwnie, uważamy to za święty obowiązek dziejopisarza, ażeby niezaprzeczone, przekazywano od wieku do wieku podania o niesłychanych jego występkach przekazać potomności.“

Obok obrazów politycznych mamy tu znakomicie rozwiniętą stronę twórczą kultury normandów, której imponujące ślady dotąd jeszcze przetrwały. Oprócz pozostałości po okresie greckim, świątyń, teatrów i innych gmachów publicznych, napotykamy tam wille z założonymi ogrodami, ro-

dzaje zamków, wznoszonych z polecenia władców normandzkich przez saracenów, a nadewszystko arcydzieło architektury — kaplicę Rogera w Palermo i kościoły stylem swym przypominające świątynie muzułminów, budowane dla emirów północno-afrykańskich. Obok architektury nie zapomniano o liryce i epopei, tak, że tu właściwie zawiązał się pierwszy zaród poezyi włoskiej, oraz sam język klasyczny, który następnie przeniósł się do Toskanii.

Bogactwo treści, wysoki sąd krytyczny, oparty na głębokich i wielostronnych studyach, a przytem artyzm, jakiego dowody złożył autor jak w poprzednich swych utworach, tak i w obecnym, przyczynił sławy sędziwemu A. F. Schackowi. Obszerną tę pracę (o przeszło 700 stronicach) zalecilibyśmy czytelnikom, nawet nie specyalistom.

K. L.

LITERATURA I SZTUKA.

ZE WSPOMNIEŃ „NOWO-ATEŃSKICH."

I.

Nasłuchałem się i naczytałem o szkole monachijskiej — nie mało. A i ty czytelniku spotkałeś się pewnie nieraz przy sposobności wystawienia obrazu któregoś z naszych bawarczyków ze stereotypowym ogólnikiem: „...ma wszystkie zalety i wady szkoły monachijskiej..." Dumni jesteśmy z posiadania własnej szkoły malarstwa— z wyrazem zaś niesmaku wspominamy o utworach, które ujrzały światło dzienne nad brzegami pienistej Izary. A ponieważ pierwsze z tych uczuć opiera się nie na fakcie, jeno na naiwnem złudzeniu, jakoby istniał śród artystów naszych jakiś jednolity kierunek po za zgodnem melodramatyzowaniem historyi czyli wrzekomem naśladowaniem Jana Matejki, przeto trudno się było oprzeć natarczywemu wnioskowi, że i owa nieprzychylność dla wychowańców „Niemieckich Aten" wypływała z urojenia sobie szkoły...

Będąc tak blizko całego ich grona, nie można było oprzeć się chęci sprawdzenia tej konkluzyi. A nuż jest ona mylną! Jakaż wtedy ciekawa dla umysłu profana praca— poznać, na czem polegają właściwości szkoły?

Przypuszczam że każdy, kogo zaprząta żywiej piękno w swych najrozmaitszych objawach, promieniałby jak ja na samą myśl o tem wdzięcznem dochodzeniu. Potężnie wybujała sztuka polska. Zbadać ten jej odłam, w którym mitry książęce przypadają takim jak Brandt lub Aleksander Gierymski — rzecz godna nawet zazdrości.

Niektórzy z poznanych przezeo mnie narazie przyklasnęli temu zamiarowi: ofiarowali nawet nieocenioną swą i „jedynie" kompetentną pomoc. Po chwili przymierze nasze, w którem jedna strona miała zyskać świetny do studyum materyał, a druga — znaleźć jakiego takiego rzecznika swych aspiracyj artystycznych i żalów do ogółu, należało już — do mitów. Nie stał już człowiek nawprost człowieka, ale literat przed malarzami; dwa gatunki zoologiczne, które, jak się okazało potem dosadniej — mają w szanownych muzach patronki — wojny wieczystej. Piękne boginie sztuki są dla nich bóstwami niezgody.

Dlaczego? Dać na to odpowiedź w paru słowach trudno. Może się na nią złoży niejako cała ta książeczka. Tymczasem jednak niech wystarczy sam fakt. Wyraził się on, dla mnie przynajmniej, tem, że Sezam, którego pilnują, nie stanął dla mnie otworem naoścież, jenom się musiał chyłkiem do niego przekradać. O zdobyciu zupełnego zaufania nie było mowy. Wdzięczen byłem Bogu, jeśli uśpiwszy czyjąś czujność, jezuickim, a więc obłudnym nieraz komplementem dostąpiłem zaszczytu wysłuchania osobistych zwierzeń. Chwytałem te promyki łakomie. Uciuławszy wiązankę, dzielę się nią, zapowiadając zgóry:

Nie krytykuję, bo z musu dyletantem jest estetyk, nie mogący ogólnych swych o dziele sztuki sądów podesłać warstwą krytyki fachowej. Jeżeli delikatnie mówiąc, jest blagą wszelkie pozowanie na znawstwo w rzeczach tak względnie prostych jak przemysł ozdobniczy, tedy komiczną junakieryą jest pewna siebie ocena malowideł i malarstwa, które ma swój labirynt techniki i specyalnych, gatunkowych prawideł. W moich oczach, powołanym sędzią ten tylko może być, kto przeszedł szkołę jako artysta i zna dokładnie szlaki, jakimi kroczy postęp artystycznej formy.

Tak, tak, mój drogi. Bez tego krytyka będzie z konieczności ułamkową, niedostateczną. Nie przeszkadza to jej wszakże być słuszną, o ile lawirować będzie między pojęciami ogólnemi, wychodzić z ogólnej zasady dobrego smaku, a unikać nieznanych brzegów, do jakich należy rysunek, sposób malowania, prawa perspektywy, zasady refleksów barwnych. Długie obcowanie ze sztuką, będąc nawet często platonicznem, może bezwątpienia wyrobić znakomitą wprawę i w tym względzie. Oko może dojść do znacznej doskonałości w poczuciu harmonii kolorystycznej i plastyki, do pewnego nawet stopnia w ocenianiu skróceń perspektywicznych, ale wierzaj mi, mierny malarz jest tu mocniejszym od najuczeńszych nawet filozofów i literatów.

Wstyd wyznać, ale my osłaniamy częstokroć powagą tytułów doktorskich i profesorskich, powagą zasług w dziedzinie estetyki — najnędzniejsze koszałki, opałki.

A względy moralne artyzmu? Kto prócz malarza, orzeknie z łatwością, czy ten oto utwór jest pomysłem autora nowym, czy też setną z kolei waryacyą na dawny temat, przeznaczoną na zwyczajny handel? Potrzeba znać dobrze rynek, ażeby módz orzec, czy artysta schlebia gustom pospólstwa wyszarzanymi faktami, czy też z pogardą dla łatwych entuzyastów, unika ich, a maluje dla sztuki, dla zachowania swego „ja," dla stworzenia czegoś nowego. Kto rozróżni pliagiat, choćby zręczny, od ruchu oryginalnego? Przypomnij sobie jeno smutnej pamięci peany na cześć Styki...

Niechaj uda się jednemu tylko natrafić na nową żyłę motywów, wnet niewidzialne narazie roje pas[o]rzytów wypasać się będą jego tytułem. Jeśli przypadkiem obaczysz podobny płód cudzej fantazyi, wyszukany starannie, *con amore*, padniesz plackiem i ody zaczniesz pisać, a przez głowę ci nie przejdzie, kto właściwem tego natchnienia źródłem. Boć nie zapominaj, że prócz własnej twej nieświadomości, jest po[t]ężna potęga sturamienna, co cię systematycznie w błąd wyprowadza. Na imię jej: świat „kunsthaendlerów." Po za nazwiskami gwiazd pierwszej wielkości—dla nich różnice firm nie istnieją. Rozumieją jeno „pokupność" obrazów. I gdy dzisiaj Ameryka zasmakuje w wielbłądach, tysiące malarzów pocznie malować wielbłądy. Ow[a] tedy pokupność zrodzi natychmiast pogo[ń] za „sprzedajnością."

W rozległej tej produkcyi zoryentow[ać] się może malarz i tylko malarz, zwłaszcz[a] żyjący w jednem z ognisk. Niepoświęcony zaś w stu wypadkach popełni dziewięćdziesiąt dziewięć błędów.

Chcecie przykładów i dowodów. Spójrzcie tylko na gospodarkę Towarzystwa zachęty sztuk pięknych i przypomnijcie sobie nazwisko Chełmońskiego, a wnet obok myśli o bajce, w której bohaterem osieł i słowik, zrodzi się w mózgach waszych obawa, że tak trwać będzie dłużej a prawdopodobnie i zawsze.

Nie zapomnę nigdy „blamage'u" jaki mię i wielu pewnie ze mną spotkał z powodu ostatnich kreacyj Gabryela Maksa. Jam się jego ostatnią Madonną zachwycał, a malarze ironicznie się uśmiechali. Wściekała mię ta, jakem mniemał jednostronność, i fanatyczna niechęć do motywów religijnych. Po kilku jednak miesiącach jużem był z sobą samym w niezgodzie. Gabryel Maks był dla mnie księgą może trudną do czytania, ale bądź co bądź przystępną, a „Madonna" stanowiła jednę z jej ostatnich kart, bez fantazyi, szczerości, a pełną sztuczek i odgrzewanych na wszystkie sposoby efektów. Ci przeto, co na mistrza patrzyli zbliska i oddawna, poznali się na kuglarstwie odrazu. A pomyślmy co by to było, gdyby Madonna tak odwiedziła np. Warszawę?

Drżę cały, ażebyś nie uczepił się czasem domysłu, iż przypisuję malarzom monopol znawstwa. *Apage Satanas!* Na drodze do tej wyłączności stoi góra śmiesznostek i przesądów, zarozumiałości i arogancyi. Oni — chętnie przypisują sobie monopol estetycznego zmysłu i jak kudłacz Atta Troll wyobrażał sobie Boga w postaci niedźwiedzia, tak drużyna Apellesa wyobraża sobie ideał w formie własnej, doktrynki lub kierunku, często wązkich, zaściankowych.

W ten sposób zastrzegłszy się, zostawiam usprawiedliwienie tej obrazy majestatu dalszem ciągowi.

Teraz już mogę śmielej, nie narażając swej literackiej godności na szwank, podkreślić, com rzekł wyżej: iż krytykować nie myślę. Pragnąłem jeno obserwować. Kresem cywilnej odwagi mej — luźna charakterystyka (naszych artystów). Nie znam całej ich przeszłości zawodowej; lecz zaledwie parę oderwanych najostatniejszych momentów, które mi odsłonił częsty spacer po... pracowniach. A jeżeli zuchwalstwo Zoilowskie wydobędzie kiedy niekiedy z pod pióra mego okruszyny krytyki, błagam, chciejcie w nich widzieć li tylko objawy — niewstrzemięźliwości. Toć wiadomo zdawien dawna, iż niema pod słońcem większego bluźniercę nad dyletantyzm, czelnie wdzierający się niepoświęconą stopą do wszelkich po drodze świątyń...

Krótko mówiąc, chcę powiedzieć tylko, com widział w owych warsztatach i jakie wrażenie sprawiały one na mnie, i przypuszczam, że sprawilyby na każdym innym zwykłym śmiertelniku. Proszę więc, nadobna czytelniczko, racz podać mi rękę a przejdziemy się.

Tylko uprzedzam, że nóżki sobie sfatygujesz, bo schodów do trzecich i czwartych piątr wiedzie mnóstwo!

* * *

Na jakiś czas musimy nabrać przekonania do najszlachetniejszego towarzysza naszej ziemskiej pielgrzymki— do konia. Są całe poematy, jemu właściwie tylko dedykowane, a mimo to arcydzieła czystej wody, jak Byronowski *Mazepa* lub *Farys* Mickiewicza. Boć jemu przedewszystkiem zawdzięczamy całą poezyę stepowego romantyzmu, dla czegóż więc niema go opiewać malarstwo?

Opiewa go też nader wymownie sztuka polska w Monachium, z tą wszakże różnicą, że ją, jako czcicielkę barw i kształtów, wyrazu i ruchu, zajmują wszystkie bez wyjątku konie. W jej *Tattersalu* podjezdek wartujący już tyle tylko, ile jego skóra, nie ustępuje bynajmniej arabowi czystej krwi. Wszystkie typy i odmiany dają jednako bogate i ciekawe pole obserwacyj i stu[dy]ów.

To też z jakiem namaszczeniem przystępują do nich niektórzy, jak np. Rosen malarz g[ł]ośny i wytrawny i Siebierz, figurka u nas [n]ieznana. Staranny rysunek konia to [...]za dla obudwu świętość. U pierwszego z [...] najwięk[...] [n]ich kult ten chodzi jeszcze w parze z ogólną [...] dystynkcyą i wielką powagą twórczości; [...] daje się łatwo wytłomaczyć;

ale skąd wziął się on na tle artystycznego nygusostwa drugiego? Snać koń malarski to, wybaczcie mi wyrażenie, osobistość bardzo szacowna.

Nie powiem jednak, by dla Rosena stanowiła ona alfę i omegę dążeń. Oko! Przypatrz się jeno dobrze mundurom jego żołnierzy, zbrojom, uprzęży, a potem poproś by ci pokazał wnętrze swoich szaf, komód, szuflad, przeróżnych skrytek, a niebawem stanie jak na dłoni, że ich właściciel należy jeszcze połową swej istoty do generacyi dawniejszej, że jest na gruncie monachijskim żywem echem tradycyi warszawskich i krakowskich, i wlewa w utwory swe *ideę, tendencyę* bardzo „sympatyczną,“ podniosłą nawet, ale trochę za szeroką dla pędzla i palety. Przemawiają z nich do nas pewne drogie bardzo reminiscencye, pewne uczucia wysokiej ceny. Nie czyni tego w tej mierze i z tym brakiem dobrego smaku jak czułostkowo-melodramatyczny Janek Malczewski, bo jest za nadto artystą a zamało żądnym łez gminu z pod Maryackiego kościoła. Ale — zawsze to kokieterya.

A jak na tem wychodzi ogół, który pragnąłby nauczyć się czegoś i wiedzieć, co trzymać o artyście, przekonywają jaskrawo dzieje „Parady na Saskim placu w r. 1828.“ Widziałem to płótno jeszcze na wystawie międzynarodowej, no, i nie mogłem wydziwić się ogromowi pracy, połączonemu z brakiem prawdziwego, wzruszającego piękna. Wrażenie to dzieliło ze mną wielu, a pomimo to, gdy obraz przybył do Warszawy, zrobił istne *furore*, z którego nawet po odtrąceniu połowy na rzecz sympatyi dla sentymentalnej strony tematu, zostanie jeszcze wiele, za wiele na dobro malarza. Toż na widok takiego obszaru mdłych tonów i zabójczo jednostajnej na milę długiej panoramy brzydkich domów z brzydkiemi oknami na drugim planie, można dostać spleenu. Gdy zaś ośmielił się Witkiewicz dosadnie i bez obwijania w błyszczącą cynfolię dać Rosenowi do przełknięcia parę gorzkich kapsułek krytycznych — w szeregach architektów malarskich zawrzało, a przyjaciele poszkodowanego założyli protest...

Zapytajcie mię o historyę i pobudki tego protestu poufnie, a powiem wam wiele ciekawych rzeczy, bo choć niewidzialny, stałem prawie za kulisami i widziałem, jak grono poważnych artystów przebierało się za trupę komedyantów, byle ocalić kolegę od „blamage'u.“ Żeby zaś o tem pisać, potrzeba talentu Bałuckiego, tylko on jeden, on autor *Teatru amatorskiego* i *Domu otwartego* potrafiłby uscenizować tę kapitalną, nieocenioną farsę.

Była to przepyszna polemika artystów zniżających się do roli prywatnych obrońców z krytykiem, co pnie się gwałtem na kusych nóżkach do olimpijskich wyżyn, by stamtąd ciskać gromy w tłuszczę, którą nazywa pogardliwie „estetyką warszawską,“ czemś w rodzaju — wspólnego dołu. *Ave Caesar! Morituri te salutant!*

(D. c. n.).

T E A T R.

W. Sardou, *Fernanda*, komedya w 4 aktach.

Poprzedni nabytek Teatru Letniego — komedya Brandesa — był względnie do moralności, rozkrzewionej na grządce naszej sztuki — grzechem, a na cnocie uległości dla gustów mieszczaństwa — plamą. Czytelnik przekonał się, że grzech był błahy, a plamka nieznaczną. Napróżno stróże moralności poczęli dzwonić na alarm (jedną ręką, bo drugą najczęściej zaalarmowaną — obdzierają), a niesłuchani — okropnie płakali nad spensjonowanemi cnotami i przez olbrzymie słomki usiłowali drobny grzeszek przeciw panującym gustom wydąć do rozmiarów ciężkiej zbrodni. Operetkowe kuplety nie sprawiły pożądanego wrażenia. Smutny to dowód przesytu tą strawą, choć dziwić się nie należy, bowiem w ostatnich czasach dowiedziono, że nawet operetce takt i umiarkowanie nie szkodzą. Idealnie umiarkowaną jest nasza scena główna. Zgrzeszywszy o wiele mniej, niż bohaterka Brandesa, natychmiast spowiada się, dopełnia pokuty i wraca do dawnej cnoty, uroczyście poczynając śpiewać litanię do swego patrona, Sardou. Oby otrzymała zbawienie — życzą jej tego ci, którzy na jej nawróceniu zyskali tylko — nudę.

Odmówiono im nawet zmiany oklepanych motywów. Znów ze współczuciem kiwać musimy głową, spoglądając na zmartwienia kobiety, której przeszłość panieńska jest — lustrem, nieco splamionem. Za wiele naśladownic znajdują — te biedne, a wszystkie po jednym szlaku stąpają. Wstręt do nieuregulowanej pozycyi życiowej, brak odwagi lub czarna intryga sprawiają, że przed ślubem owo lusterko bywa dyskretnie zasłonięte muślinową firanką. Ręka przypadku, jeśli nie czarnej intrygi, podnosi ją przed oczami męża w chwili, gdy nikt nie miał ochoty przeglądać się w lustrzanej szybce i rachować plamy na niej. Tu początek „kwestyi.“ Co czynić wtedy? Czy znów zapuścić firanki, lub wypędzić żonę? Czy w imię obrażonego honoru pozrywać przyrodzone więzy macierzyńskich praw? Czy z obawy rózeg opinii potargać już usnutą przędzę szczęścia domowego? Czy wyciągnąć do zgody jeden palec lub pięć? Czy dać na mszę lub zaalarmować policyę? Te ciężkie zagadnienia trapiły i zawsze trapić będą ludzki drobiazg, którego unieszczęśliwia brak kieszonkowego wydania przepisów, ustalających raz na zawsze, jakiego koloru garnitury moralności powinni ludzie sprawiać. Z łożyska tych strapień wpłynęła fala kwestyj do komedyi i dramatu przez upusty, otwarte rękami Dumasa i Sardou. Wystawili oni przy tej strudze młyny i dobre wyciągnęli z nich zyski, z mąki paradoksów i szablonów scenicznych piekli chleb na drożdżach kłamstwa i pominięcia logicznej myśli i konsekwentnego przebiegu psychologicznego — a wyroby ich znalazły u mieszczaństwa zbyt, tak jak go znajdują oleodruki, złocone sprzęty, operetki, arystony, literackie miernoty, kodeksy obłudnej moralności itd.

Sardou nad Dumasem tę wyższość posiada, że bez piany na ustach i nie przy czterdziestu stopniach gorączki dowodzi słuszności paradoksu. Jego kwestye służą mu tylko jako bezbarwne płótna. Pędzel dekoratora pokrywa je grubemi malowidłami, które, wstrętne z blizka, z daleka, ze sceny obałamucają oko mieszczańskiego widza. Stos teatralnych efektów nanizany zostaje na pajęczą nić intrygi — nieprawdopodobnej i niemądrej, lecz szybkimi zwrotami akcyi oszałamiającej głowę tegoż widza. Tak sporządzoną została Fernanda. Trzeba było o dwadzieścia lat się cofnąć, by w śmietniczku sztuki wynaleźć ten klejnot, uroniony przez francuskiego przedsiębiercę.

Oto — osoby. Matką Fernandy jest kobieta, utrzymująca przytułek hazardownej gry i łatwych przyjemności dla młodzieży. Naturalnie — z lepszego domu, wdowa po urzędniku czy szlachcicu, ofiara ciężkich przejść, okropnych prób, zawikłanych intryg, przyjmująca bez szemrania i z mocą duszy wyroki losu, zadającego gwałt jej zacności. Rzewnemi słowy opowiada ona o swych nieszczęściach; wymownie przekonywa, ze nikt tyle nie cierpi z powodu upadku moralności, ile jej uciśniona dusza i szumnie odsłania etykietę, którą autor pozwolił jej przypiąć do kapelusza: „zacny charakter, choć burza go złamała — zasługuje na współczucie.“ Policya przybywa na pomoc jej duszy, zamyka domek mamy Fernandy i pozwala, by w akcie drugim mogła się nam ona ukazać w czarnej sukni, pełna skromnej godności i z manierami przyzwoitości. Widz przekonywa się, iż jest to istotnie zacny charakter i tylko małe nieporozumienie z losem skłoniło dobrą kobietę, że przez lat kilka była złodziejką i bezwstydnie i bezlitośnie okradała kieszenie młodych a niedoświadczonych.

Prawie tyleż mimowolnego humoru okrasza postać samej Fernandy. Jak łatwo się domyśleć, jest to udręczona niewinność, cnota wzrastająca na grzędzie występku, szlachetność opierająca się wpływom niecnego otoczenia, sympatyczny ideał, który zamiast wzlecieć do nieba, przez omyłkę pije szampana i zjada obfite kolacye — za kradzione pieniądze. Spotykamy ją w lupanarze gry, odmalowanym z całą ścisłością według wskazań Eugeniusza Sue lub Gaboriau. Wiemy, że przed chwilą usiłowała spełnić samobójstwo, a przy kolacyi była smutną, widzimy zaś sami, że z rozdzierającym smutkiem rozdaje gościom karty do gry, a później usuwa się od ich towarzystwa. Lecz pomyślmy, iż nie jesteśmy świadkami krótkiej chwili na scenie, lecz że w takich samych warunkach upływają lata. Codziennie Fernanda spożywa śniadanie, obiad i obfitą kolacyę — ze smutkiem, niewątpliwie ze smutkiem również sprawia sobie suknie i zaspakaja wszystkie potrzeby za kradzione pieniądze. Ze smutkiem każdego wieczoru rozdaje karty, a potem oddaje się łzawym i rzewnym rozmyślaniom o przyjemnościach uczciwej pracy. Nieszczęście chce mieć, że samobójstwa jej się nie udają, a żadnych innych usiłowań dla rozstania się z cierpkimi smutkami życia — nie przedsiębierze. Słowem, jest to niepraktyczny anioł, prościej zaś mówiąc, niemądra mara, która pod żadnym stopniem szerokości geograficznej nie przybiera kształtów cielesnych.

W tym światku widm i halucynacyj błąka się jeszcze kilka istot, których ciałem są szmatki frazesów, kształtem — szablon, barwą — wypłowiałe wspomnienia całego legionu podobnych, już widzianych. Więc spotykamy rezonera, nie różniącego się od innych — Pomerola. Młodą, rozkochaną, zazdrosną i ograniczoną mieszczkę — jego żonę. Kobietę zazdrosną, mściwą i niemoralną — Klotyldę. Człowieka, który z powodzeniem pokazywany bywa jako lekkomyślny kochanek, lub szlachetny mąż — d'Arcisa. Czem są te postacie? Wzorkami wykrajanymi z szarego, scenicznego papieru i nawleczonymi na drucik akcyi.

Gdzież kwestya? By wywiązać się mogła — Fernanda, którą autor okrył całym afiszem cnót, upada pod brutalną przemocą intrygi, osnutej przez jakiegoś epizodycznego złoczyńcę. Oddaje mu się dla ocalenia matki. Byłoby to zbyteczne, gdyby Klotylda i Pomerol, zajęci losem dziewczyny, nie potrzebowali się udać na spoczynek wtedy właśnie, gdy opieka ich była dla Fernandy najwięcej pożądaną. Ale, że spełnienie swoich dobrodziejstw odłożyli na jakąś ranną godzinę, więc do tej pory Fernanda miała czas zawiązać kwestyę. Czyni to w takich warunkach, że widz żadną miarą nie może być obrażonym na nią za poplamienie cnoty a przeciwnie podziwiać musi wspaniałość jej duszy. Dalej trzeba było, by jaki zacny i dobrze urodzony młodzieniec pojął Fernandę za żonę, nie wiedząc nic o jej przeszłości. Fernanda niezdolna jest kłamać; żeby więc umożliwić powyższą kombinacyę, koniecznością się stało osnucie niezmiernie zawikłanej intrygi. Dobry czytelnik pozwoli mi być treściwym w tem miejscu i sam zresztą łatwo odgadnie, że Fernanda przed ślubem jeszcze chciała uczynić wyzn[illegible]ie d'Arcisowi, że pisała list, który przez intrygi innej kobiety (patrz wyżej: mściwa i zazdrosna) nie dostał się do właściwych rąk, że całe małżeństwo Fernandy i d'Arcisa było dziełem zemsty Klotyldy, przez tego ostatniego zdradzonej, że wyznanie błędów Fernandy [illegible]było w chwili niepożądanej, gdy oboje b[illegible]szczęśliwi — Fernanda najpewniejsza, ż[illegible] mąż jej

wie o wszystkiem i że jej przebaczył, a d'Arcis — niepodejrzywający niczego.

Na szczycie dopiero tego rusztowania znalazła się kwestya, czy mąż może przebaczyć żonie dawny jej błąd. Sardou odpowiada, że może, a nawet powinien. Czy nie wydaje się wam odpowiedź za śmiałą w ustach pisarza mieszczaństwa? Bynajmniej. Sardou daje ją i zarazem powiada: „Nie sądźcie, dobrzy mieszczanie, bym drasnął waszą obłudę, bo patrzcie, proszę, z jakich kunsztownych nici związałem ten węzełek w życiu Fernandy, o którym d'Arcis nie wiedział. A dlaczego nie wiedział? Wszak w tem winy ze strony mojej bohaterki nie było, tak zrządził czysty przypadek, i jaki szczególny, widzieliście sami. Czy bywają takie zdarzenia w życiu? Wiecie, co o tem sądzić, więc też rozumiecie, ile warta moja odpowiedź.“ To powiedziawszy, dodaje jeszcze, mrugając na widza: „Powiem wam lepiej — nie było tu żadnej kwestyi. Był koncept — nic tylko koncept. Przecież pojmujecie, że trzeba jakiejś zasady dla powiązania akcyi, celu dla intrygi, płótna dla dekoracyj, których nie można rozwieszać na powietrzu. A czy mój gwóźdź był kiepski, niech powiedzą ci, których bawiłem kilka godzin.“

I ma racyę — jeśli tylko znajduje wielu takich, których bawią jego łamańce. Nie liczyłem tych rozbawionych, lecz przypominam, że jest wielu innych, którzy prędzej zapomną drogi do teatru, niż zechcą szukać rozrywki w przybytku podobnej sztuki.

Co w takich warunkach powiedzieć można o grze artystów? Że nikt z nich nie stworzył jednolitego i zrozumiałego typu, bo nie było go w sztuce. Najlepsze usiłowania nie zapełnią szczerb i wyrw, które zdobią wzorki dane do odtworzenia, a chcieć żeby artysta był zarazem wykonawcą i autorem — jest to za wiele od niego żądać. Wreszcie własna, choćby genialna nawet inwencya, nie może przekroczyć niedorzecznych ramek, w które autor powprawiał swoje szablony. Momenty, skupiające dramatyczny wyraz uczuć, oddane były w grze artystów bez zarzutu.

F. B—ski.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Wohlgemuth.—Kopiec na jego pamięci. — Kara dla Wohlgemutha.—Berlińskie Towarzystwo i jego działalność.—Niespodziewane zyski Galicyi. — Wyzdrowienie trzody chlewnej. — Śmietniki w naszej kulturze. — Niezrozumiała logika. — Wyroby krajowe.— Pielgrzymka bibuły. — Jakie są jej przyczyny.— Nasza rzetelność. — Pilne potrzeby. — Szewcy na turnieju mądrości. — Mniemany grom. — Szufle i porcelana. — Kąpiele dla biednych. — Życzenia. —Pogodzili się.

Czy znane ci jest, czytelniku, z poznańskiej korespondencyi do *Wieku*, nazwisko Wohlgemutha? Jeżeli nie, to zakarbuj je sobie mocno w pamięci i nie ścieraj, póki nie rozdmuchasz przed niem niegasnącego płomyka wstrętu i nienawiści. Jeśli odpychałeś zawsze myśl, żeby człowiek mógł z rozkoszą oplwać innego, to przestań być na chwilę człowiekiem, ale zachowaj plwocinę pogardy dla Wohlgemutha. Bo wieki— gdy umrze — zachowają jego mogiłę, pokolenia będą rzucały grudki hańby na nią, aż urośnie tak wielka, że nikt nie uwierzy, by pokrywała zwłoki jednego nikczemnika i szlachetni będą szukali pod nią szczątków całego narodu, który niegdyś ludzkim był, a stał się sgrają złych i dzikich bestyj. Wohlgemuth jest to wiejski nauczyciel w Zalaszowie pod Swarządzem, w Poznańskiem. Laskę niemieckiej oświaty zlewał on na polskie dzieci przez razy kija, kaleczył, by zostawić pamiątkę wiedzy.

Mógł Wohlgemuth być zwierzęciem, ale czyż zwierzę ośmieliłoby się kąsać tak zajadle, gdyby czuło dokoła protest obrażonych serc ludzkich, gdyby narodowa etyka nie nakazywała tego. Został on skazany na siedem dni aresztu lub 70 marek grzywny, więc pod mogiłą, którą mu wieki usypią, nie on jeden będzie spoczywał, lecz wszyscy, którzy wyrok ten uznali za sprawiedliwy.

Zaiste, trudno jest znaleźć dla naszej sympatyi do niemców tyle waty, by otulone nią kolce tego uczucia nie wyłaziły radośnie, ile razy spekulacye ks. Bismarka zmokną na deszczu niepowodzenia. Pisaliśmy niedawno o tym figlu, który przy pomocy wysokiego cła, nałożonego na gotowe materyały budulcowe, zwłaszcza deski i tarcice, miał spowodować wywóz do Niemiec drzewa w stanie surowym i — co za tem idzie— przeniesienie tartaków do Prus. U nas skutki były tak wyśmienite, jakby pomysł pochodził od arcykapłana, który wpierw poradził się mądrej Pytyi. Ustawicznie więc trzeba notować, że kupiec Franke i kupiec Moszek Ehrlich i kupiec Jakób Lilienstern wysłali do Gdańska tyle i tyle sztuk (ilości zwykle bardzo piękne i przedstawiające wartości w ładnych sumkach) budulcu sosnowego, klocow olszowych i dębowych itd. Zwłaszcza kupcom tym dobrze się dzieje w Lubelskiem, gdzie kilkunastu zamożnych, a pochodzących z Bydgoszczy, Szczecina i Berlina utworzyło Towarzystwo *berlińskie* dla spławu drzewa budulcowego z gubernii lubelskiej, ze składem głównym pod Nową Aleksandryą (*Kur. codz.*). Natomiast w Galicyi — figiel utracił cechy cudowności. Piszą do *Wieku*, że na cle wysokiem Austrya i Węgry nawet skorzystały nieco. Przedsiębiorcy tamtejsi, mając zamknięte rynki niemieckie, znaleźli dla swego towaru odbyt wraz z nieporównanie lepszemi na drzewo cenami — we Francyi, na Wschodzie i w Afryce. Tymczasem posiadacze lasów w Bawaryi i producenci tamtejsi, nie obawiając się konkurencyi, nakładają na drzewo i materyały z niego ceny według życzenia. Na czyjeż więc plecy spadła ulewa, którą sprowadził niemiecki Kalchas?

Obawiając się, by zbyt rzęsista — nie przemoczyła ludowej wiary w jego nieomylność, cofnął on teraz zakaz przewożenia do Prus trzody chlewnej z Królestwa. Przewozić ją wolno, byle po przebyciu granicy natychmiast była zabijaną. Bądź co bądź jednak, gorąco musieli przemawiać za zdrowiem naszych wieprzków poddani kanclerza, skoro usunęli wątpliwości jego weterynarzy. A kiedyż znów nasza trzoda zachoruje? Pewnie rychło, a w każdym razie prędzej, niż my się wyleczymy z wielu chronicznych słabości. Są w kulturze naszej takie zanieczyszczone kąty, takie umiłowane śmietniki, na których z jakimś zawziętym a doskonale bezmyślnym uporem przechowujemy dzikie nałogi, wady, wstrętne — chorobliwe i niedające się wytłomaczyć. Ojcowie przekazują je dzieciom troskliwiej, niż majątki, które najczęściej jeszcze przed sporządzeniem testamentu ulegają katastrofom — kolejowym. A ta moralna spuścizna nie może się nigdy wykoleić i potłuc i bez testamentu wsiąka w krew coraz to nowych pokoleń. Miotła czasu i smutnego doświadczenia nic tu nie działa, nie pomagają wołania cnotę czyniących, lub udających, iż ją czynią, ostrzeżenia i Baltazarowe przepowiednie prasy rozlegają się w schronieniu głuchoniemych. W końcu ten przybytek narodowych cnót takie sprawia wrażenie, iż chce się splunąć, zakląć energicznie i wyjść zeń — trzasnąwszy drzwiami.

A może tam istotnie pachnie i tylko uprzedzeni kręcą nosem. Np. *Kuryer warszawski* doniósł nam, że jakiś anglik zamyśla założyć w Warszawie fabrykę stalówek i obsadek. Nie wątpię, iż jest to (naturalnie nie *Kuryer*, tylko anglik) albo dziwak, albo desperat, który ni z tego ni z owego powziął zamiar najprędszego stracenia posiadanego kapitału. W tem mniemaniu utwierdza mnie okoliczność, że ja osobiście zużywam bardzo mało stalówek, a jeszcze mniej obsadek. No, ale gdyby — do ogółu rzecz stosując — było inaczej, gdyby fabryka ta przynosiła korzyści, dlaczego nie mieliby podjąć projektu miejscowi kapitaliści? Rzecz prosta — dlatego, że fabryka przyniosłaby korzyści. Nie wiem, czyby roztropni syngalezi zrozumieli taką zawikłaną logikę, bowiem tylko jeden młody między nimi pojął tę prostą, która przekonywa, iż czasem miło jest spełnić nawet nieetatowy obowiązek, a — bez świadków i oklasków.

Ciekawa rzecz, jaki stempel na swych stalówkach wyciśnie ów anglik. Jeśli polski — to należy mu doradzić, żeby wyroby swoje obrócił na jakikolwiek inny użytek, bo do pisania nikomu służyć nie będą. Niech np. wypcha nimi poduszkę, a jeśli zaśnie na niej, to z pewnością będzie roił we śnie o miłości polaków dla wszystkiego, co swojskie. Najpewniej jednak będzie on wolał pod głową mieć pierze i roić o dużym odbyciu, a stalówki wyśle za granicę, skąd powrócą z podrobionym dyplomem pochodzenia. Nie trzeba wątpić, iż tak uczyni, a warto posłuchać tego, co następuje: „Paląc papierosy z bibułki La Patrie, Abadie, Dorobantal, Dernières Cartouches, Maïs, Panama itd., ani na myśl nam nie przychodzi, że papier ten jest zrobiony *w Galicyi, w Sasowie*, tu dostał francuskie, włoskie napisy, pojechał do przedsiębiorcy do Paryża, Marsylii, Rzymu, Bukaresztu, Konstantynopola i wrócił do nas *jako zagraniczny* — ten sam — nasz, z polskich szmat, słomy i kukurydzy zrobiony papier.“ (*Gaz. warsz.*). Powiedzcież, czy szpital w Tworkach może dać schronienie całemu społeczeństwu, które składa ku temu takie wymowne kwalifikacye. Tylko na wysokości kultury buszmanów lub hotentotów postawić można taki fakt, żeby swój własny wyrób, poszukiwany na rynkach całego świata, nie kupować inaczej, jak częściowo od zagranicznych kupców. Bo „ani jednej bibułki fabryka ta w kraju nie zbywa, a to z powodu, że krajowy papier nie miałby u nas popytu, a następnie na taki odbiór *en gros* nie byłoby kupca, któryby zresztą z pewnością *w terminie nie zapłacił.*“ U-u-u, jak pachnie. Fabryka papieru w Sasowie, pod Złoczowem — jak pisze korespondent *Gazety* — jest własnością polaka, należy do pierwszych—być może — w świecie, jest olbrzymią, urządzona po europejsku, stosuje najnowsze urządzenia. Produkując wiele, musi mieć odbyt hurtowy, stosunki handlowe z kupcami wielkimi i *rzetelnymi*. A tych, niestety, łacniej znajduje za granicą.

My w gruncie rzeczy jesteśmy rzetelnymi, czyli płacilibyśmy wspaniałomyślnie nasze długi, gdyby nam na to zbywało po zaspokojeniu pilnych potrzeb. Cóż poradzić na to, że — nie zbywa. I to gorsze, że te pilne potrzeby są zwykle tak bardzo pilne, iż mając coś do sprzedania, w rękę pocałujemy, gdy nam ktoś rubla zapłaci za rzecz, którą po upływie tygodnia sprzedalibyśmy za dziesięć. Co będzie za tydzień, gdy nic już nie zostanie do sprzedania? No — kawałek złotej gwiazdy może nam spaść na nos. Tak rozumują w Galicyi ci, którzy — według doniesienia korespondenta *Wieku*— odstępują spekulantom pretensye do rządu o wynagrodzenie za utratę propinacyi. Żeby je otrzymać, trzeba ucierać się z władzą i szczebel po szczeblu gramolić się po drabinie formalności. Wprawdzie dotarłszy do końca, otrzymaliby wszystko, co się im należy — ale to byłoby za tydzień, dziś więc sprzedają swoje prawa ze stratą. Zacnie czynią, bo inaczej czyjąż wełnę strzygliby spekulanci. Potworzyli oni przedsiębiorstwa finansowe i za wynagrodzeniem podejmują się załatwienia wszelkich niemiłych dla

szlachty formalności i tym, którym pilno do grosza, dają zaliczki, lub nabywają odrazu całą pretensyę do rządu. Interesy robią wyśmienite — są to żydzi.

Co sobie myślą oni o tych, którzy nadstawiają im karki do strzyżenia—nie wiem, ale korespondent *Kuryera codziennego* źle myśli o szewcach kurowskich. I nie bez słuszności, bo przysłowie wprawdzie butom tylko zaprzecza mądrości, ale w tem racyi niema, gdyż butom brak wszelkich przymiotów umysłowych i zarówno jest niedorzecznie powiedzieć: mądry jak but, jak i to — co się mówi. Inaczej jest z twórcami butów — ci mogą ubiegać się o palmę w dwóch, wręcz sobie przeciwnych turniejach, jakie wyznacza umysł ludzki. O jaką więc chodzi tym szewcom, którzy, sprowadzając ze stron dalekich skóry i wszelki potrzebny im materyał surowy, używają do zakupna i sprowadzania jakiegoś agenta i pozwalają mu zarabiać rocznie 25 tysięcy rubli. Dlaczegóż nie zawiązać bezpośrednich stosunków handlowych? Czemuż nie posyłać kogoś z pomiędzy siebie? W jakim celu wzbogacać obcego spekulanta? Są to pytania postawione na turnieju, o jakim się wyżej rzekło.

A co słychać z kolonizacyą w Poznańskiem? — zapytasz czytelniku. Czy pomimo słoty nie urosły tam jakie kwiatki obywatelskich cnót, których słodycz mogłaby zagoić na naszym duchu ślady pokrzyw, zerwanych w Galicyi i u nas? Wzrosły i to cieplarniane, w lepszym gatunku. Niejaki pan Rożycki sprzedał swoje dobra Zbrachlin, 1,434 morgów przestrzeni, komisyi kolonizacyjnej. Wiadomość ta dla korespondenta *Wieku* była „gromem z pogodnego nieba“ i nasunęła mu porównanie z „*bezprzykładnym* (?) czynem pana hrabiego na Jeziorach,“ na tych Jeziorach, które przed półtora rokiem nabył niemiec Kenemann. Dla nas gromem to nie było i porównań nie czynimy, bowiem Rożycki wart tyle, co hr. Czarnecki i wszyscy, którzy liczbę majątków większej własności, w rękach polskich się znajdującej — sprowadzili do trzech. I wciąż widzimy bezchmurne a pogodne — malowane, płócienne niebo, które dobrze urodzeni rozpięli nad sobą i na którem błyszczy słońce, księżyc i gwiazdy, lecz nie te, które przyświecają źle urodzonym a uczciwym. Gromu nie było.

U nas, jeśli zapytać, co robi jaka panna, to odpowiedzą na pewno, że maluje na porcelanie. A jeśli ktoś jest ciekawy, dokąd się posunął przemysł włościański, to niech wie bez pytania, że chłopi wyrabiają szufle do zboża. Cóż robić, zarówno praca kobieca, jak przemysł włościański wspinają się w początkach po szczeblach do przebycia łatwych a małych — w zyskach. Trzeba więc troskliwie zapisać, że z okolic Warty włościanie dowieźli do Łodzi cztery fury szufli do zboża, po 500 sztuk na każdej furze. Ktoś nabył jeden tysiąc, a drugi powędrował do Łowicza. Życzę, żeby ten tysiąc rozplenił się na tysięcy sto, ale chciałbym, iżby mi wkrótce przybyła nowa notatka—już nie o szuflach. Bo o porcelanie stanowczo nie będę pisał, zdaje mi się, że zarówno wszyscy fejletoniści, jak i nabywcy malowanych talerzy, mają ich dosyć.

Jedni bez apetytu skrobiąc po malowanych talerzach, bawią się, odnajdując na dnie ich różowe twarze amorków lub słoneczne obrazki, inni z żałością śledzą, kiedy zniknie wodnisty barszcz a ukaże się czarne dno misy. Pierwsi dla odzyskania apetytu jeżdżą w lecie do wód, drudzy nie tracą go, choć skóra ich cały rok nie rozdziewała się — z brudu. Zawsze jednak do zdrowia im to nie pomaga, a wiele go potrzebują, gdyż wiele pracują. P. Edward Cichocki, budowniczy, przemawia w *Przeglądzie technicznym* za koniecznością urządzenia tanich kąpielowych zakładów, któreby za kilka kopiejek — 3 do 4 — wydawać mogły kąpiele natryskowe, razem z bielizną i mydłem. P. Cichocki sądzi, że zarząd miasta zechciałby zaliczyć takie zakłady do liczby instytucyj użyteczności publicznej, które korzystają z ulg w opłacie za wodę. Cieszyłbym się, gdyby biedni przestali być brudnymi, gdyż bogaci straciliby wtedy wymówkę, iż do nędzarzy zbliżać się nie mogą, bo — dostają kataru. Powodzenia więc życzę projektowi p. Cichockiego, a nowym członkom zarządu Kasy zjednoczenia urzędników i oficyalistów kolei Terespolskiej, by nigdy się nie uczyli, jak się piszą „ciepłem owiane“ akty oskarżenia, a natomiast skutecznie rozpędzili chmury, które nad kasą zawisły.

Gdy to nastąpi, będę się cieszył nie mniej, niż zachwycony zostałem zgodą warszawskiej prasy z panią Zimajer. To mało powiedzieć zgoda — uwielbienie, uwielbienie. Czy tak znaczną jest zmiana ku lepszemu w talencie pani Zimajer, jak różnica między tem, co dziś się pisze, a co pisało dawniej — osądzić trudno, pewne to, że nieposlednia ta artystka wiele skorzystała za granicą i dziś — imponuje. Jeśli istotnie wnosi ona wiele taktu, subtelnego dowcipu i delikatności do tak brutalnych i — ogólnie biorąc — wstrętnych widowisk, jak operetkowe, to chyba nie znajdzie się ani jeden głos, któryby nie domagał się powrotu jej na naszą scenę.

Zastępca.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Konferencya międzynarodowa dla ukrócenia niewolnictwa zbierze się w Brukseli d. 15 października r. b.

Generał-gubernatorem kijowskim, wedle urzędowej wiadomości, zamianowany jest hr. Ignatjew.

Sprawy kolejowe. Ledwie trzy tygodnie upłynęły od czasu zaprowadzenia na kolejach węgierskich t. zw. taryf strefowych, a już dochód okazał się o 32% większym od dawniejszych.

— Na polecenie ministeryum komunikacyi kolej Terespolska od d. 13 listopada r. b. będzie musiała wagony przedziałowe nieprzechodnie zastąpić sześciokołowymi przechodnimi.

— Koleje Królestwa Polskiego otrzymały okólnik ministra komunikacyi, polecający im jaknajspieszniejsze dostarczenie wykazu kosztów, które w latach 1890—1894 pociągną za sobą zamierzone ulepszenia, niezbędne dla rozwoju ruchu handlowego.

— Kolej Łazowo - Sebastopolska przeznaczyła 32,000 rs. rocznego funduszu na nagrody dla odznaczających się swoich oficyalistów.

— Uzyskano koncesyę na nową linię boczną kolei żelaznej od stacyi Sosnowice na drodze Wiedeńskiej do kopalni węgla „Saturn,“ ku granicy pruskiej.

— Towarzystwo kolei Dąbrowskiej zamierza przedłużyć swoją linię od Ostrowca przez Opatów do Sandomierza.

Z prasy. Pozwolenie na wydawanie w Warszawie pisma peryodycznego p. t. *Myśliwy*, zostało ostatecznie skasowane.

— Redaktorem *Dziennika łódzkiego* zatwierdzono p. Bolesława Knichowieckiego. (*Praw. Wiest.*).

Wypadek. Dnia 24 b. m. na drodze Warszawsko-Petersburskiej pod stacyą Kuźnica, niedaleko od Grodna, zawalił się most na rzece Łosośnie. Stało się to na kilka godzin po przejściu pociągu osobowego, idącego do Warszawy. Przyczyną było podmycie filarów, „spostrzeżone“ wprawdzie, lecz do przebudowy mostu „zamierzono“ dopiero przystąpić. A kości i życie ludzkie ucierpiałyby jednak...

Rosya otrzymała zaproszenie do wzięcia udziału w wystawie przemysłowo-rolniczej, mającej się odbyć w kwietniu r. p. w rzeczypospolitej argentyńskiej.

Nowe ustawy. Ogłoszono ustawy: 1) Banku handlowo-przemysłowego w Odesie; 2) Południowo-ruskiego towarzystwa żeglugi parowej na morzach: Azowskiem i Czarnem, na rzekach: Dniestrze, Dnieprze, Bohu i Donie i zagranicznej.

W Sudanie grasuje głód. W Chartumie i Kassali lud żywi się — trupami.

Skutkiem dżumy, panującej w Arabii około Mekki, wszystkie okręty przypływające z Port-Said, na brzegach morza Czarnego podlegać mają kwarantannie.

Na rozkaz władz wojskowych, przy każdym korpusie mają być utworzone przenośne pracownie bakteryologiczne.

Z teatru. Najbliższą nowością w repertuarze Teatru Letniego będzie komedya Sardoua „Stryj Sam.“ Najlepsze siły aktorskie wezmą udział w jej przedstawieniu.

Ze sztuki. Wystawy obrazów Gersona (w Tow. zachęty) i Kostrzewskiego (w Salonie Krywulta) już wkrótce będą zamknięte.

Konwencya w sprawie wzajemnego wydawania spadków została zawartą pomiędzy Rosyą a Szwecyą. (*Praw. Wiest.*).

Sprawy szkolne. Opłata szkolna w r. b. podwyższoną zostaje: w IV gimnazyum męzkiem we wszystkich klasach z rs. 40 na 50 i w III żeńskiem także we wszystkich klasach z rs. 30 na 40.

— Szkoła rzemiosł pod kierownictwem p. Kühna ulegnie zmianie dodatniej. Po przeniesieniu jej do obszerniejszego pomieszczenia przy ul. Składowej nr. 3, wprowadzone będą: nauka krawiectwa, rymarstwa, giserstwa i cyzelerstwa, a prawdopodobnie nożownictwa i blacharstwa.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 18 Августа 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.